Nr. 17. **26. Czerwca** **1860.**

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. $2^1/_2$ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. $4^1/_2$ zł., kwart. $2^1/_4$ zł., miesięczn. 75 ct. w. a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. $157^1/_4$.

FAŁSZYWY KRÓL.

Zdarzenie sekretne JMPana Marcina Wilgi.

I.

W jednym z owych zakątków ziemi polskiej, błogosławionych w lasy i moczary, dokąd to, o czem w Warszawie mówią, dopiero za lat pięćdziesiąt dochodzi, żył za panowania Stanisława Augusta szlachcic na małym futorze, którego więcej znano z imienia niżeli z osoby. IMPan Marcin Wilga znany był ongi w całej okolicy; dzisiaj, pożal się Boże, wieść tylko po nim została. Od lat czterdziestu nikt go na oko nie widział, bo pan Marcin cóś zdziwaczył i z przed oczu żyjących znikł jak kamfora.

A słuszne też miał powody pan Marcin do takiego dziwactwa. Przed czterdziestu bowiem laty, gdy jedni szli do lasa a drudzy do Sasa, poszedł on był za Adamem Ponińskim, a kilkakrotne *„Vivat Augustus"* wygłoszone potężnym, gromowym głosem i poparte szeroką szablicą, kosztowało go pół prawej ręki, której resztki na temblaku zawiesić musiał. Przyszedłszy do siebie po tak bolesnej przygodzie, rzekł do przytomnych:

— Mości panowie! Czemże jest szlachcic bez ręki i bez szabli? —

A gdy mu na to nikt nie odpowiedział i tylko wyraz kompasyi na twarzach się malował, pan Marcin wziął to milczenie za smutną dla siebie odpowiedź, że już Rzeczypospolitej na nic przydać się nie może. Z łzami w oczach pokłonił się braci, siadł na wózek i nie obejrzał się aż na kopcach swego futorka, do którego jechało się z Warszawy prostym traktem ku Litwie dni siedmnaście.

Miał więc dość czasu pan Marcin do smutnych kontemplacyi. Dziwaczne myśli latały mu po głowie. Chciał zostać mnichem, a gdy mu przyszło wybierać między Kamedułą i Kapucynem, pokłócił się sam z sobą, i przestał myśleć o klasztorze. Bolało go, że tak wcześnie rzemiosło rycerskie musi na bok odłożyć, a wzywając od czasu do czasu natchnienia Ducha św. aby rozum jego oświecił, począł się nad tem zastanawiać, coby to w życiu ludzkiem rycerskiemu rzemiosłu najbliższem było. I gdy tak sobie to i owo w głowie rozbierał, naszła go dnia szóstego, o szóstej godzinie już przy zachodzie słońca myśl wcale nowa. Pan Marcin w tym dniu otworzył sobie nowy świat dla przyszłych dni swoich. Postanowił osiąść na małym futorku, zgromadzić koło siebie kilkunastu swoich poddanych, żyć z nimi i pracować jako brat starszy bez splamienia herbownego klejnotu, opowiadać im czasem, jak to za jego dobrych czasów w Rzeczypospolitej bywało, co to tam prawe, nieposzlakowane szlachectwo znaczy, i jak dobry król dobrym poddanym za przysługę Rzeczypospolitej nawet i herb nadać może. Jak pomyślał, tak też i uczynił.

Futorek jego otaczały z jednej strony odwieczne lasy, z drugiej błota nieprzebyte. Opłociska zagrody były wysokie, nawet jadący na koniu nie mógł okiem na podwórze zaglądnąć. Wszystko to odpowiadało przedsięwzięciu pana Marcina, a gdy na jego przywitanie stara, ojczysta bramka zaskrzypiała; gdy zapłakanem okiem po samotnych rzucił budynkach, tak się mu jakoś błogo w duszy zrobiło, jakoby wszedł w święcone mury klasztoru. Spojrzał na rękę wiszącą na temblaku i pomyślał sobie:

— Szablę zawieszę nad łóżkiem pod obrazem N. Panny z Jasnej Góry, może się mi kiedy coś o niej przyśni. Senatorem ani posłem nie będę, bo mówiąc prawdę, nie mam potemu ani głowy ani nauki. Niech tam inni radzą, czego Rzeczypospolitej potrzeba, a co uradzą, to będzie pewnie dobrem. Ja tylko ręką mógłbym się do czegoś przyczynić, a gdy tej mi dzisiaj nie staje, już mnie tam nie potrzeba.

I zawiesił w samej rzeczy nad łóżkiem starą szablicę, zwołał dziesięciu swoich poddanych, opowiedział im swoją przygodę prosząc ich, aby oni byli mu teraz prawą ręką, aby mu w pracy na zagonie dopomagali, a on za to będzie im wdzięczen dobrem słowem i uczynkiem, i razem z nimi o deszcz i pogodę modlić się będzie. Poddani żałowali swego dziedzica, że go takie nieszczęście spotkało, przyrzekli pracować jak Bóg przykazał i rozeszli się rozmawiając między sobą o skrytych drogach Opatrzności, która i na poczciwych zsyła smutne przygody.

Odtąd zaginęła wieść o panu Marcinie. Żył sam jeden jak palec w domu. Rano spiewał godzinki, wychodził w pole lub krzątał się koło gospodarstwa, w południe jadł obiadek z nienajgorszym apetytem, a odmówiwszy przy zachodzie słońca *Ave Maria*, kładł się spać na łóżku, nad którem obok NPanny z Jasnej Góry wisiała jego szablica. Toż słodko śnił poczciwy szlachcic, a śnił na przemiany to o Jasnej Górze to o zardzewiałej szablicy, i tak jakoś w końcu pomieszały się mu te dwie jedyne relikwie, które

z swego życia wyniósł i nad sobą zawiesił, że trudno było odgadnąć, do której z nich większe miał nabożeństwo, a nawet możnaby wnosić, że się do herezyi nakłaniał.

A dziwny był to szlachcic ten pan Marcin. Nie pił, nie robił żadnych burd, nie miał nawet brzucha ani łokciowych wąsów, ani też łba nie golił. Wąsy i włosy podstrzygał, nosił szaraczkowy żupan, a gdy chłopa zdybał, zdjął czapkę odpowiadając mu: na wieki wieków. Zawsze był trzeźwy, każdemu zawadyakowi z drogi ustąpił, a gdy który z poddanych do niego po radę lub pomoc się udał, rozmawiał z nim jak Bóg przykazał, mając to na uwadze, że bliźniego trzeba kochać jako siebie samego. A że często sam obok pługa iść lubił, rozmawiając z chłopem o tem lub o owem, toż go i chłopi polubili i radzi z nim rozmawiali. Bo o jakichże to niesłychanych rzeczach prawił im pan Marcin! A prawił im szczerze i od serca, bo nie mogąc służyć Rzeczypospolitej, służył swojej ubogiej gromadce, mając w niej głos pryncypalny.

I dobrze było w tej nowej służbie panu Marcinowi, a jeszcze lepiej było gromadce.

Wiele burz przemknęło ponad gmach Rzeczypospolitej, wiele się tam popsuło i złamało, ale pan Marcin nic o tem nie wiedział. A jeśli kiedy co przypadkiem do niego doszło, zatykał sobie uszy, mówiąc:

— Senatorem nie jestem, a ręki nie mam!

I tak minęło lat czterdzieście. O wyniesieniu na tron polski »Stolnika litewskiego« dowiedział się gdzieś przypadkiem od przejeżdżającego kwestarza i tylko lewą ręką na to machnął. Późniejsze zaburzenia także go nie wiele obchodziły, a gdy kiedy coś mocniej go drasnęło, powtarzał na to znaną swoją rekuzę.

I tak czystym był pan Marcin w obec Boga i ludzi, a Bóg i ludzie kochali poczciwego szlachcica, mimo, że zarywał na dziwaka. Był bowiem bezżenny, i zdawało się że straciwszy rękę, stracił był i afekt do kobiet. Po prostu jednak rozumował sobie pan Marcin:

— Jestem kaleką, a chociaż do kalectwa przyszedłem w służbie Rzeczypospolitej, cóż ztąd? Któraż kobieta powie, że mi do twarzy bez ręki?

I może słusznie rozumował pan Marcin. Lecz mniejsza o to, dosyć, że był bezżennym, aż do przyjęcia świętego oleju.

Mimoto jakoś po ukoronowaniu «Stolnika litewskiego» ukazała się na dziedzińcu futorka jakaś młoda, czarnowłosa dziewczynka. Dzisiejszy zepsuty świat mówiłby o tem różnie, ale wtenczas nikomu nawet do głowy nie przyszło, powątpiewać o tem, że panna Dorota jest najprawdziwszą siostrzenicą JMPana Wilgi, a córką świętej pamięci pani Grzymałowej, która będąc wdową i na respekcie u JMPana Bukowskiego, przeniosła się dość wcześnie do wieczności. Tym sposobem weszła Dorotka do małego futorku i jaśniała w nim białością twarzy jak biała gołębica, kiedy zabłąkana w puszczy litewskiej osiędzie na czarnej dębu gałęzi.

Dorotka była wprawdzie sierotą, ale tego wcale na jej twarzyczce nie było widać. Z jej czarnych oczek strzelały tak gorące promienie, że możnaby hubkę do nich zapalić. Twarz miała rumianą, usta zawsze do uśmiechu złożone, a serce tak szczere i otwarte, jakoby je tylko rąbek sukienki osłaniał. Zdawało się, że co chwila z pod rąbka wyskoczy, jak nieraz gadatliwsze od serca oczy zapowiedziały. Ale jakoś dotąd trzymało się jeszcze w ukryciu to serduszko, a kochany wujaszek w niemałym już był kłopocie, myśląc o tem, co to będzie, gdy to serduszko do kogoś z pod rąbka wyskoczy. Biedny wujaszek! On nie wie, że serduszko to jak piskle przepiórcze! Zaledwie z łupki się wykole, już ucieka!

Otóż takie kłopoty przybyły panu Marcinowi do dawnych jego smutków, a im więcej siebie i swój futorek od świata odcinał, tem większy niepokój spostrzegał w czarnych oczkach Dorotki, tem dziwniejsze były jej sny i słowa. Raz opowiadała mu, że się jej przyśnił jakiś piękny, dorodny młodzieniec, który ją wziął za rękę i chciał być jej bratem; drugi raz znowu stała przed ołtarzem a organista śpiewał na chórze jakąś dziwną melodyę, a gdy tę melodyę panu Marcinowi powtórzyła, przestraszył się stary szlachcic, bo ta melodya była: *Veni creator*, którą zwykł organista przy ślubie śpiewać. Nie było w tem wprawdzie nic dziwnego, bo jużciż Dorotce kiedyś te myśli musiały przyjść do głowy, ale jużciż zgorszeniem było dla partyzanta Augusta, ażeby podobne rzeczy mogły się zrodzić w głowie ośmnastoletniej dziewczynki!

— Mój Boże, mawiał skrycie do siebie pan Marcin, musi to tam bardzo źle dziać się na świecie, jeśli tak młodym dziewczętom takie myśli i sny do głowy przychodzą.

A otworzywszy księgę św. pisma, do której dołączone było na końcu zburzenie Jerozolimy opisane przez Józefa Żydowina, czytał głośno ku zbudowaniu zasmuconej duszy swojej:

„..... I były znaki na niebie i na ziemi....“

Doczytawszy jednak do końca i przekonawszy się, że we wszystkiem, co się tu dzieje, widny jest palec boży, uspokoił się pan Marcin i wszystkie swoje smutki ofiarował św. Antoniemu, opiekunowi dobrego sumienia i dobrej opinii u ludzi.

Tym sposobem odzyskał znowu dawny swój pokój, zdając wszystko na wolę bożą.

Ale niedługo trwał ten pokój. Czterdzieści lat mijało właśnie, jak pan Marcin bez prawej ręki samotny żywot prowadził. Dorotka miała już lat dwadzieścia. Było to jakoś w Styczniu a pan Marcin uczuł nagle dreszcz w prawem ramieniu. Natarł je wódką z kamforą, ale to nie pomogło. Pierwsza jaskółka zaświegotała pod strzechą futorka, ale zamiast wiosny, przyniosła mu nowy ból, który począwszy od wielkiego palca prawej nogi poszedł przez krzyże aż do głowy i tam się zagnieździł. Pan Marcin począł się niepokoić i dąsać, wszystko go gniewało, gderał, łajał, a po kościach jak chodziło, tak chodziło.

Wreszcie zawitała wiosna. Pola okryły się trawą, drzewa zakwitły jak mleko. Zdawało się panu Marcinowi, że i w nim coś się odrodzić chciało. Rozpierało mu serce i głowę, żyły nabrzmiewały, a gdy w nocy oczy zmrużył, stawały przed nim jakieś dziwne straszydła, które mu spać nie dawały. Śpiewał godzinki, ludziom, w dwójnasób dobrze czynił, ale obiadek mu nie smakował jak dawniej. I pomyślał sobie stary szlachcic:

— Cóż się ze mną dzieje, na co mój rozum głupi. Pojadę do Brześcia, gwardyan Ojców Kapucynów to mądry człowiek, służyliśmy niegdyś w jednej chorągwi. On przeczyta mi nad głową, a zły duch opuści mnie.

Ale w Brześciu dowiedział się p. Marcin w klasztorze OO. Kapucynów o ważnych rzeczach. Mówiono mu o sejmie, który na początku tego roku się zebrał, i o dziwnej jego herezyi przebąkiwano.

— Otóż macie! krzyknął pan Marcin, dziwiłem się, co mi po kościach chodziło! Wszak winienem był wiedzieć, że Rzeczpospolita u każdego szlachcica jest *in succo et sanguine!*

I zamarzył sobie szlachcic o młodych latach, i spojrzał na rękę wiszącą na temblaku. Uśmiechnął się i rzekł:

— Wszystkie te wasze historye nie wiele mnie obchodzą. Bo cóż to, że Stolnik litewski porwany przez Konfederatów miał jeden trzewik na nodze a drugi w błocie wraz z szubą zostawił. Ja przy Auguście III prawą rękę zostawił i cóż ztąd?.... Panie! odpuść im.... muszę do Warszawy, a choć nie mam swady jak ksiądz gwardyan, trzy słowa znajdą się jeszcze w głowie starego szlachcica!

W takim razie nie można było siedzieć na małym futorku między lasami i bagnami. Namyśliwszy się dostatecznie postanowił pan Marcin udać się do Warszawy i z blizka temu wszystkiemu się przypatrzyć, a w razie potrzeby rzucić na szale losów rzeczypospolitej swoje trzy słowa.

Słońce już się miało ku zachodowi, gdy wjeżdżając na dziedziniec swego futorka, ujrzał w ganku czarnooką Dorotkę. Nowy kłopot przybył do jego smutków.

— Gdzież to biedne dziecię zostawię, pomyślał sobie, w domu nie będzie nikogo, a wziąć ją do Warszawy jeszcze gorzej. Ksiądz gwardyan opowiadał mi, co za zepsucie panuje w Warszawie, a dziewczynka nieszpetna...

I tak kłopotał się biedny pan Marcin przez półtrzecia dnia, nie jadł i nie spał, aż wreszcie zawoławszy Dorotkę, tak do niej przemówił:

— Dziecko moje! Ważną mam dla ciebie nowinę. Nazajutrz, w wilją św. Stanisława wybierzemy się w drogę. Pojedziemy do Warszawy. Ważne sprawy mnie tam czekają. Ale mówię ci, Warszawa to nie futor, gdzie kilkoro poczciwych ludzi mieszka. Tam górą zepsucie, zgorszenie, obraza majestatu bożego. Trzeba się modlić, a szatana odpędzać, aby ci coś do ucha nie naszeptał. Przedewszystkiem radzę ci udać się pod opiekę św. Antoniego, patrona poczciwej opinii.

Dorotka skoknęła z radości, ucałowała wujaszka w rękę, a odmawiając litanię do św. Antoniego, zamarzyła o Warszawie, którą tylko znała z opowiadania.

W samą wigilię św. Stanisława, razem ze wschodem słońca siadł pan Marcin na wózek położywszy obok siebie z jednej strony starą szablicę, z drugiej strony pradziadowską maczugę, którą na wszelki wypadek jako niezawodne *antidotum* na podszepty szatana lub też inne feralności zawsze miał mieć pod ręką.

I tak jechał sobie JMPan Marcin Wilga z siostrzenicą swoją do Warszawy, dając jej przez drogę mnóstwo recept, jakich potrzebować miała w zepsutej Warszawie.

II.

Na mostowej ulicy przed gospodą Rożynka stało kilku szlachty.

— Patrzaj wasze, zawołał szlachcic w ceglastym kontuszu, daję gardło, że to wózek litewski.

— Ta-bo u was, Mości Michale wszystko litewskie, co dziwaczne. Prędzej rzekłbym, że z Pokucia....

— Bądź co bądź, ozwał się stary Toporczyk, czy z Litwy czy z Pokucia to nie do rzeczy, ale że jedzie szlachcic, za to ręczę.

— Za późno się wybrał, *sero venientibus ossa,* ani jednego starostwa nie ma do rozdania.

Wózek zatrzymał się przed gospodą Rożynka, a na nim siedział JMPan Marcin Wilga, wraz z swoją szablicą, maczugą i siostrzenicą, która właśnie domawiała litanii do świętego Antoniego tak głośno, że pan Marcin każde słowo mógł wygodnie kontrolować.

— Otóż i zepsuta Warszawa! pomyślała sobie czarnooka Dorota oglądając się po ulicy, a jak pięknie, jak miło jest w tej zepsutej Warszawie! Gdyby mnie wujaszek nie był przestrzegł, mogłabym uwierzyć, że tu najpoczciwsi ludzie mieszkają. Tak grzecznie nas pozdrawiają!

I w samej rzeczy kilku młodzików przechodziło właśnie przez ulicę. Jeden trącił drugiego, szepnął mu coś do ucha, spojrzeli na wózek, zmierzyli szlachcica, szablicę, maczugę i Dorotkę, roześmiali się i ukłonili. Pan Marcin spojrzał z ukosa, a Dorotka tak serdecznie ich pozdrowiła, jak gdyby byli jej rodzeni bracia.

Inaczej wydawała się Warszawa panu Marcinowi.

— Mój Boże, dumał stary, co się to stało z tej poczciwej Warszawy. Francuzczyzna, fircyki, przebrzydłe landary, małpy w galonach..... wszystko to świadczy, że się dają widzieć „znaki na niebie i ziemi!"

I jeszcze chciał dalej sobie podumać szlachcic litewski, gdy nagle usłyszał tuż obok siebie:

— Wilga! Wilga!

Obejrzawszy się, obaczył kupę szlachty, a przecierając oczy wypatrzył się na wołającego, jakby sobie coś chciał przypomnieć. Nim jednak myśli swoje

do porządku mógł przyprowadzić, już go ktoś szarpnął za lewą rękę, z bryczki ściągnął i w oba policzki serdecznie ucałował. Pan Marcin zachwiał się na chwilę, co w takim razie czynić wypada, bo szlachcica na żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, ale czas do namysłu był krótki, a wierząc więcej sercu niżeli starej głowie, uściskał go wzajemnie, zostawiając wyjaśnienie na czas dogodniejszy. Jakoż nie zawiodło go serce. Z piersi poszło coś do głowy i rozświeciło tam jak świeczka.

— Michna! krzyknął po chwili, któżby się spodziewał! Jam myślał, że cię Tarłowscy wtenczas zabili!

— Oj krucho było ze mną, to prawda, odparł szlachcic, ale się człowiek wylizał! Chleb z pajęczyną a reszty pan Bóg dokazał.

— Łaska Przedwiecznego z nami!

— *In sæcula sæculorum.*

Pan Wilga spojrzał na szlachcica w ceglastym kontuszu, który te słowa z wielką emfazą był wymówił. Szlachcic miał pełne policzki, dobrze zaokrąglone i niezgorszej był fantazyi.

— Jak się Waść pieczętujesz? zapytał Wilga szlachcica, na którego twarzy szczególne malowało się zadowolenie.

— Toporczyk, odparł tenże.

— Toporczyk? pochwycił Wilga, uderzając się po czole, pamiętam.... Toporczyk służył ze mną w Chorągwi....

— To mój stryj.... Wincenty....

— Był chudy jak szczypa a rąbał się dyablo! A Waść spasłeś się, jakoby dzisiaj Wisłą samo mleko płynęło! he, dawnoś wasze na koniu harcował? Z kopią, z szablą....

— Pan Piotr lubi żywot spokojny, przerwał Michna gładząc wąsy i mrużąc oczyma.

— Chapnął teraz dwie wiosek z starostwa bełzkiego, rzekł Wildze zza plec do ucha.

— A cóż się tu dzieje w dzisiejszej Warszawie, *mater Dei!* krzyknął Wilga, toż senator ubogi a szlachcic się panoszy!

Michna pociągnął Wilgę za rękaw i rzekł:

— Inne czasy! inne czasy! szlachta górą, *liberum veto!*..... Ale Wasze z dalekiej drogi, słońce przypieka a biedna chudoba i młode dziewcze, co tam siedzi na wózku, radeby się skryć gdzie. Jestem tu na gospodzie, pójdźmy a pogadamy sobie przy szklance miodku.

Rzekłszy to, uchylił czapki przed stojącą koło niego szlachtą, na znak pożegnania, a sam przysiadł do wózka, wziął w jedną rękę szablę i maczugę, w drugę Dorotkę i wszystko troje zaniósł do sieni gospody i tamże na ziemi postawił. Dorotka uśmiechnęła się do szlachcica i nie mogąc na prędce znaleźć słów na podziękowanie, okazała mu tymczasem dwa rzędy białych jak kreda ząbków, co szlachcica w taką przyjemną wprawiło alteracyę, że po wąsie musnął i łysinę pogładził.

— Do stu katów! pomyślał sobie, jak wiewióreczka! — I byłby niezawodnie jeszcze raz wąsa podkręcił, a nawet już prawą ręką do łysiny się zbliżał, gdy go pan Wilga zatrzymał i o drzwi jego izdebki zapytał. — Roztasowawszy się w izdebce i opatrzywszy konie w siano i owies, usiedli obaj towarzysze przy flaszy z miodem a Michna tak zaczął:

— Zapewnie wiadomo waszeci, co się dziś u nas dzieje.

Wilga machnął ręką i mruknął coś pod nosem.

— Ale najprzód powiedz mi wasze, czy jesteś adherentem króla?

— Jestem adherentem rzeczypospolitej, odpowiedział Wilga, a gdy król i naród jest jedno, toż i króla jestem adherentem.

— Nie o to mi idzie, panie Marcinie, ale ja tak po prostu sobie myślę: Przyjechałeś wasze tutaj, jak tysiąc innych przyjechało, aby zastawić więcierz i łapać rybki. Przedarto groblę wielkiego stawu, a mnóstwo rybek uchodzi. Ale już wszystkie wyłapane.

— Jakto?

— Oto krótko mówiąc, sejm odebrał królowi prawo rozdawania starostw. Więc jaki taki sięga dzisiaj po starostwo, a najwięcej dostaje się tym, co się czepiają panów sejmowych, którzy chcą mieć obok siebie liczną klientelę i sporo głosów za sobą. Intrygą, mości Marcinie, wszystko się dzisiaj dzieje. Mnóstwo szlachty na kilka lub kilkanaście lat porozbierało krajowe dobra, i radzi z nabytku siedzą cicho tam, gdzie na całe gardło krzyczeć potrzeba, a krzyczą *veto,* gdzieby ani pisnąć wypadało.

— *Mater Dei,* zawołał Wilga, toż myślicie, że ja po to tu przyjechał, aby rzeczpospolitę obdzierać i paść się na chlebie publicznym?....

— Otóż kubek w kubek i ja tak myślę i cieszę się z opinii waszeci.

I ucałowali się obaj towarzysze i uderzyli o szklanki.

Tymczasem na ulicy zrobił się rozruch. Ludzie poczęli się skupiać i coś głośno do siebie gwarzyć. Rożynek wszedł do izdebki z wiadomością, że król egomość tędy popod same okna za chwilę przejeżdżać będzie. Już robią szpaler dla niego. Przyczém nie zapomniał wychwalać położenia swojej gospody, która każdego dnia daje gościom sposobność oglądania Jego królewskiej Mości.

I w samej rzeczy położenie gospody było wyborne. Ulica była prosta i czysta, a król wyjeżdżając na Pragę, jechał popod same okna gospody. Goście potrzebowali tylko nos do szyby przyłożyć, już widzieli króla. A niepospolitem widowiskiem była wówczas osoba królewska. Jakkolwiek skutki tegorocznego sejmu nie wszystkim do smaku przypadły, świeża jednak pamięć tragicznego zdarzenia, porwanie króla, i wyrok świeżo na królobójców zapadły, dodały jego osobie wiele uroku, daleko więcej, niżeli miał przed owem zdarzeniem jako *rex fictus et pictus.* Stanisław August umiał z swego położenia korzystać. Jechał w otwartej kolasie, z wyrazem słodkiej jakiejś boleści, prze-

konany że poświęca się dla narodu, czy to w niewoli u konfederatów, czy w pałacu traktując hojnie dostojnych gości swoich, czy to jadąc w kolasie i uśmiechając się do tłumu szlachty i gawiedzi. Przekonanie to wewnętrzne uspokoiło i zaokrągliło rysy jego twarzy, wypełniło policzki, a nawet coraz więcej przydawało mu tuszy, podczas gdy rzeczypospolitej ubywało ziem i zdrowia. Jeśli to prawda, że Napoleon po bitwie pod Austerlitz, jako po dokonanem arcydziele tyć począł, to noc porwania Stanisława Augusta przez konfederatów można zaiste uważać za zenit jego wielkości nietylko w własnem przekonaniu, ale i w opinii narodu, a mianowicie Warszawy. Zamach ten nieszczęsny nachylił wszystkich serca ku niemu, a gdy się okazał na ulicy, zbiegały się zewsząd tłumy, i z okrzykami biegły z końmi na wyścigi.

Ale dzisiaj jakoś posępniej było na ulicy. Wprawdzie zebrały się tłumy, ale więcej z ciekawości widzenia króla. I Wilga stanął w sieni gospody a Michna okazywał mu powozy i kolasy, tłumacząc mu kto i z kim jedzie.

Jakiekolwiekbądź były uczucia mężczyzn, kobiety jednak pozostaną takiemi, jakiemi są zawsze. Okazały dwór i osoba królewska czynią na nich większe wrażenie niżeli jakibądź, bodajby najszlachetniejszy bohater ludzkości, który cicho i bez hałasu pomiędzy tłumy się wałęsa. Kobiety są zawsze rojalistkami; kobiety odznaczały się najszaleńszym entuzyazmem przy restauracyi we Francyi. One lubią wprawdzie królować, ale jeszcze więcej lubią patrzeć się na królów i okazały ich dwór admirować. A że i czarnooka Dorotka była niewyrodną córką grzesznej Ewy, nie dziw więc, że wypadłszy z izdebki przedarła się przez tłumy ciekawych i w pierwszych stanęła szeregach.

I niedługo czekała upragnionego widoku. Na ulicy rozległ się tętent koni, dwóch szaserów przemknęło poprzed frontem stojących spektatorów, za nimi wytoczyła się jedna i druga kolasa, wreszcie okazała się żółta, suto ozdobiona kolebka, a siwa czwórka zwolna pomykała naprzód.

— Król! król! zawołano zewsząd, a czapki poczęły się ruszać na głowach.

Stanisław August z słodkim uśmiechem na twarzy, a królewską godnością w postawie witał wszystkich lekkiem skinieniem głowy, szepcąc przytem pobieżnie swoje uwagi towarzyszowi, który obok niego siedział. Jakiej istoty były owe uwagi, o tem nikt z publiki nie wiedział, wnosićby jednak można po jego usposobieniu, że musiały mieć cel estetyczny.

Przejeżdżając koło gospody Rożynka zatrzymał się wzrokiem przy stojących tamże spektatorach. Na czele ciekawych stała młoda Litwinka o czarnych oczach. Piękne, różowe usta otworzyła w zachwyceniu, odsłoniła dwa rzędy najpiękniejszych pereł, a przenikliwe jej oczy z takim ogniem uderzyły na dostojną osobę monarchy, że gdyby naówczas wiedziano o czarownej sile magnetyzmu, siostrzenica JPana Wilgi miałaby sławę pierwszej magnetyzerki. I w samej rzeczy Jegomość król raczył dłużej spocząć okiem na wylęknionej twarzy ładnej Litwinki, a nawet się uśmiechnął i coś krotochfilnego swemu towarzyszowi do ucha powiedział. Wtem szarpnęła czwórka, a żółta kolebka zniknęła z przed okien gospody, okrywając patrzących chmurą kurzu.

Wilga i Michna wrócili do swoich szklanek, wróciła i panna Dorota do swego węzełka, z którego poczęła dobywać świąteczny kaftanik z czarnej materyi z różową lamówką. Ale wszystkim nie szło już w ład przerwane zatrudnienie. Wilga począł się skarżyć na ból w prawem ramieniu, Michna dowodził po swojemu, że Warszawa to drugi Babilon, i przepowiadał z kalendarzową skrupulatnością dzień i godzinę, w której z nieba spadnie ogień i siarka, a panna Dorota myślała sobie przy tem wszystkiem:

— Mój Boże! Cóż ci starzy chcą od tej biednej Warszawy! Ludzie tutaj tak grzecznie się kłaniają, takie ładne mają ubiory! a ładnych mężczyzn co nie miara! Nie wiedzieć nawet, na kogo się patrzeć, i ten ładny i ten ładny.... jak mi Bóg miły, gdyby kilku z nich przyszło i o moją rękę wujaszka prosić chciało, byłabym w wielkim kłopocie, z którym pójść do ołtarza!

Tak marzyła sobie panna Dorota muskając po czarnej barwie kaftaniczka, a obaj starzy popijali miodek i złorzeczyli złym czasom, jakich niby za grzechy swoje doczekali się na tym świecie, nie wiedząc wcale, że prostą drogą od zamku dążył do nich gość wcale niespodziany.

(Dokoń. n.)

NOC NA STEPIE.

(Dokończenie.)

I znowu cisza jak przódy była;
Gdzieś tylko wiater wstrząsał burzany,
I szara mgła się od Dniepru wiła
Wężem po stepie między kurhany, —
I księżyc niżej zeszedł nad ziemię,
A zbladł to zżółknął niby z zazdrości,
Że jasne słońce już tylko drzemie,
I wnet powstanie w całej świetności.
Lecz cisza jeszcze, głęboka cisza...
Aż niby szmer się w powietrze miesza;
Lekko, płynąco
Głosy się mącą,
Szelest i gwar
Jak nocnych mar —
Gdy w chwili duchów
Lecąc — powiewem,
Brzękiem łańcuchów,
Nieziemskim śpiewem,
Szyderczem śmiechem,
Lub krzykiem cichym
Wstrząsają wolny wiater stepowy.

I oto zwolna ze mgły Dnieprowej
Wzrastają blade, wiotkie postacie:
Tuż przed namiotem, w rycerzy kole,
Stał mąż wyniosły w królewskiej szacie,
A znój i troski znać mu na czole,
Przed nim, na czele butnej kozaczy
Kornemi inny ugrzązł kolany,
A czaplą kitą kołpak ubrany
Potęgę jego i godność znaczy.
A król łaskawe ściągnął ramiona
Nad Atamana rozrosłe barki —
I łaską zda się wszystkich pokona,
Bo wszyscy dumne schylili karki —
Choć widać w oczach tego co klęczy,
Że słowo jego to puch pajęczy,
Że może z lada wiatru podmuchem
Stać się chwiejącem, wątłem i kruchem. —

Pękło to słowo. Zniknęły cienie,
Powstają inne ze mgły Dnieprowej,
A na nich zwisa krwawe odzienie,
A każdy walczy, każdy bojowy,
I jak step długi, tak rzeź zaciekła:
Postacie straszne jak jędze piekła
Gniotą się razem choć krew z nich ciecze,
Choć krwawią twarze, ręce i miecze.
I mignie czasem
Kołpak kozacki,
Lub kontusz lacki
Krwawym atłasem,
Lacka szablica lub lacki grot,
W pośrodku czerni kozackich rot.

A z boku stanął dumny Ataman
Co u nóg króla klęczał przed chwilą,
I burką kord swój ociera złaman,
Patrzy jak resztki lackie się silą
Ostatkiem męztwa czerń całą zgnieść,
Lub śmierć dla dobra Ojczyzny nieść!
A kędyś w wietrze zadrzały słowa:
Klęska Batowa!....

Zcichło — bo cicho kędy śmierć blada —
Nadarmo wiater w burzanach gada,
Już im padł spokój ciężki, wieczysty. —

A z mgły Dnieprowej i z pary krwistej
Wyrasta cerkiew szczytem do chmur:
Przed cerkwią dziady po cichu gwarzą,
W cerkwi różowo świece się jarzą,
I słychać popów żałośny chór;
A przez otwarte widać podwoje
Czarne obicia i czarne stroje,
I w kadzidlany dym otulony
Przylata smutek od onej strony.

A tu na wschodzie roztlało słońce.
Przejasne jego światło płonące
Porwało w ogień świątynię całą,
I jednym rzutem wszystko gorzało.
Węże płomieni
Wszystko objęły,
Zniszczenie wszczęły;
Wszystko się mieni,
A w kształt promieni
Lecą gdzieś w słońce
Miecze płonące! *)
I oto postać z płomieni rosła:
Oblicze blade, wzrok w górę niosła
I trupie usta do pół rozwarła,
Na ustach prośba widać zamarła, —
Na barkach kontusz podarty w szmaty,
I pas lecący z bioder bogaty —
Choć u stóp leży kozacza burka,
I damascenka zdobyta z Turka,
Drogi z bisiorów kołpak kozaczy
I czaple pióro co godność znaczy,
I rząd na konia kamieńmi dziany,
I koń tabuniec w ogniu kąpany....
Lecz wszystko ciężka bratnia krew broczy,
Że postać dłonią zasłania oczy.

Hej dzień już jasny, i coraz jaśniej!
Wszystko się topi w promieniach słońca;
Jedna mgła tylko z trawy dymiąca
Walczy w kłótliwej ze słońcem waśni -
Lecz zwyciężona w nic się rozchodzi,
A co zostało we świetle brodzi.

Pół oka słońca nad trawą świeci,
I szle po stepie złociste nici
By perły rosy nanizać na nie,
Świętej Urszuli to na ubranie.

Po jasnem niebie obłoki płyną,
Jako lecące w opar bociany,
Płyną nad łzawą stepów krainą
Nad spłakanemi rosą kurhany —
I gwar natury ze snu się budzi;
A sam, przeczysty, bez głosu ludzi,
W śpiew i mruczenie, świegot, brzęczenie
Ustraja swoje poranne pienie —
I moja tylko, moja jedynie
W słowach modlitwa ku niebu płynie:
Za kraj kurhanów, mogił i żali
Za bracię ległą i bracię w dali. —

G. M.

---

*) Jemiołowski w pamiętniku swoim podaje, iż gdy Chmielnickiego w Sobotowie grzebiono, zajęła się od świec jarzących cerkiew przez niego fundowana, podczas gdy był w niej na katafalku złożony, i zgorzała do szczętu.

O WYMOWIE W KÓŁKU STAROPOLSKIEM

przez Władysława Zawadzkiego.

W żadnym narodzie, wyjąwszy starożytnych Greków i Rzymian, nie była sztuka krasomowcza tyle pielęgnowana i upowszechniona, jak u Polaków. Życie publiczne, w którem cała szlachta czynny brała udział, i kształcenie się na wzorach starożytnych klasyków, dały ku temu popęd. Kto chciał mieć silne po sobie stronnictwo, owładnąć umysły i uzyskać przewagę w Rzeczypospolitej, używał ku temu potęgi wymowy. „W Polsce nie może się ten nazwać obywatelem, a nawet, śmiało powiem, Polakiem, pisze Starowolski w swem dziele: *De claris oratoribus Sarmatiæ*, kto o rzeczy jakiejkolwiek wymownie i ozdobnie prawić nie umie, i to nietylko po łacinie, ale i w mowie ojczystej.“

Z publicznej mownicy, z kazalnic i sejmowego koła przeszedł kunszt krasomowczy w kółko codziennego pożycia, i równie jak tam, rozprzestrzenił się tu i upowszechnił. Polak otwarty i szczery, z sercem na dłoni, przyzwyczajony do gwarnych sejmikowych obrad, ilekroć ujrzał się w rodzinnem zebraniu, w jakiejś uroczystszej chwili, w gronie sąsiadów i przyjaciół, mimowolnie otwierało się serce, rozwiązywały usta, a co zrazu było wynikiem wrodzonej serdeczności i napływu uczucia, później z biegiem czasu przeszedłszy w obyczaj, stało się formą, kunsztem, zmieniło w obrzędową konieczność. I nie było już tedy żadnej domowej uroczystości, żadnego mniej więcej ważnego zdarzenia w rodzinie, iżby w niem kunszt krasomowczy naczelnej nie odgrywał roli i wszystkim nie towarzyszył obrzędom. Występowano z przemowami przy każdej zgoła sposobności. Pomyślności i smutki, święta, imieniny, powitania i pożegnania, chrzty, wesela, pogrzeby, itp. otwierały pole do wszelkiego rodzaju najrozmaitszych oracyi.

Za czasu kwitnienia nauk w Polsce, w błogosławionym wieku Zygmuntowskim, rozwinęła się była wymowa do wysokiego stopnia doskonałości; lecz wraz z ukończeniem tej epoki, równocześnie z upadkiem szkół i rozszerzającym się coraz bardziej obskurantyzmem i zepsuciem, przeistoczyła się wymowa z serdecznej, silnej i porywającej w czcze formuły i deklamacye. Nigdzie też ów upadek nauk, ów brak wszelkiej myśli, czczość i ubóstwo ducha, w jakie popadał naród, nie dały się uczuć więcej jak właśnie w upadku wymowy. Występowano jak dawniej, a nawet coraz częściej z oracyami przy każdej okoliczności, przy każdem, by najdrobniejszem wydarzeniu domowem, przesadzano się w mowach coraz to obszerniejszych, coraz to więcej wymuszonych i odętych, szpikowano je makaronizmami, stwarzano coraz to górnolotniejsze alegorye i porównania, lecz była to już tylko czcza frazeologia. Im kto mniej zrozumiale, im górnolotniej prawił, tem za większego uchodził mowcę i większe odnosił sukcesa. Im bardziej upadały nauki, tem więcej rozkrzewiało się próżnochwalstwo, schlebianie wszelkim próżnościom, posunięte do obrzydłego służalstwa. Z prostego i serdecznego wyrazu uczuć, wymowa stała się panegiryzmem.

Panegiryzm, to choroba wieku rozpostarta jak polip nad umysłowem życiem narodu i przygłuszająca jego żywotne siły. Wszystko przemieniło się w pochwałę. Chwalono się przy chrztach i pogrzebach, chwalono wzajemnie przy każdej okoliczności; panegiryzm wysilał się na wyszukiwanie splendorów w osobach i rodzinach dostojnych swych mecenasów, a brnąc w coraz bezczelniejsze pochlebstwa, stawał się potworem pełnym najśmieszniejszych i zaledwo zrozumiałych przenośni. Tu autor chcąc popisać się z uczonością, brał pełną garścią do swych przyrównań cokolwiek zasłyszał z wszystkich historyi świata, z mitologii i astrologii. Zwykle w panegirykach klejnot herbowy owego familianta i mecenasa, na którego cześć pisany był panegiryk, dawał treść początkową, bywał osią około której zadzierzgnięty wątek rozwijał się w najdziwaczniejsze aluzye i alegorye. Z końcem szesnastego wieku przybył do Polski zakon jezuitów, podgarnął pod siebie wkrótce większą część szkół, owładnął wychowanie publiczne. Równocześnie zaczęły się u nas pojawiać pierwsze tego rodzaju pisma, a odtąd przez długi szereg lat następnych, stosy panegiryków przygniotły całe piśmiennictwo i na jego osadowiły się miejscu. Byli autorowie, którzy zajmowali się wyłącznie onych spisywaniem i tworzyli wielkie ich mnóstwo. Choroba tak się rozszerzyła i wzmogła, iż oprócz takowych chwalców z urzędu nie było autora, mającego pretensyę do uczoności, któryby się nie poszczycił autorstwem panegiryków. Pisali je Jezuici i Pijarzy, pisali profesorowie akademii Krakowskiej i Zamojskiej tak świeccy jak duchowni. Żaden bibliograf nie zliczyłby owego mnóstwa panegiryków co w mniejszych i większych, w arkuszowych i ćwiartkowych formatach wychodziły na świat ze wszystkich po całej Polsce drukarń. Zapełnione są biblioteki nasze prywatne i publiczne onych stosami, świadczącemi o najsmutniejszem skażeniu wszelkiego smaku i zdrowej myśli. Badaczowi mogą one dostarczyć wiele dat genealogiczno-historycznych —jako utwory literackie są to dziwolągi.

Wspomniałem o panegirykach, gdyż uważam iż wynikły one z tej samej przyczyny, z której poszedł i upadek wymowy w kraju, mianowicie ze złego kierunku wychowania szkolnego.

Drukowane panegiryki zachowały się dotąd w wielkiej ilości; mamy również zachowaną wielką liczbę mów publicznych, które najczęściej doborowi mowcy, znakomici miewali mężowie; lecz jakże w porównaniu mało przechowało się aż do nas próbek owej wymowy domowej, przygodnej, jak mało, zważywszy zwłaszcza owe ich codziennie przy tysiącu okazyi rodzące się mnóstwo, w domowem kółku staropolskiem. Zapewne mała rzetelna wartość tych mów obrzędowych, które przy każdem zdarzeniu, każdemu niejako z urzędu prawić wypadało, była powodem iż tysiącami ginęły w niepamięci, nieogłoszone wcale drukiem. Zdarzały się wprawdzie przykłady pięknej wymowy przygodnej, zwłaszcza gdy w kole rodzin znakomitych przy uroczystościach domowych zabierali głos mowcy tacy, jak Tarnowski, Żółkiewski, Sobiescy i t. p. lecz w warstwach niższych, w kółku drobniejszej szlachty, występowały codziennie rzesze mowców, których głosy do nas nie doszły i o których wcale się dziś nie troszczymy.

A przecież zajmującą dla niejednego może być rzeczą, kto rad bliżej zapoznać się z ową domową przeszło-

ścią naszą, zaznajomić się z niektóremi przynajmniej próbkami owej wymowy, która tak nierozłącznie z staropolskiem splotła sią była życiem i obyczajem. Gdzież więc szukać owych zaginionych dziś szczątków, któreby nam trafne mogły dać rzeczy wyobrażenie, gdziebyśmy o wzroście i upadku staropolskiej wymowy domowej, bliższą mogli powziąść wiadomość.

W czasach, kiedy każdemu ledwo nie codziennie wydarzała się sposobność, a raczej konieczność popisania się z wymową, nie małą to zaiste było rzeczą, umieć się nie powstydzić, nie pozostać za innymi w kunszcie oratorskim, lecz znaleźć zawsze w pogotowiu oracyę mogącą dorównać tym, z któremi w tejże samej okazyi występowali inni. Nie każdemu jednak z natury daną była biegłość w wymowie, nie każdy miał dar składania własnym konceptem wdzięcznych oracyi. Ztąd wynikała potrzeba starać się wcześnie o rozmaite z góry już ułożone i do rozmaitych okoliczności zastosowane mowy, z którychby w razie potrzeby skorzystać można. Spisywano więc sobie takowe, zwłaszcza które, stosownie do smaku piszącego, wydały się wdzięczniejsze i do różnych okazyi sposobniejsze. Byli autorowie szczególniejszą w tym względzie obdarzeni twórczością, posiadający przytem potrzebną dozę erudycyi, zajmujący się niejako z rzemiosła komponowaniem oracyi do różnych okazyi zastosowanych, które potem skwapliwie rozchwytywano i powtarzano.

Najwięcej przechowywano je sobie w księgach domowych, w owych tak zwanych *Sylva rerum*, które spisywano sobie w każdej prawie staropolskiej rodzinie, a które przechodząc od pokolenia do pokolenia, tu ówdzie jeszcze i do naszych dochowały się czasów. Nie było prawie domu, gdzieby ojciec rodziny, dziad lub rezydent, krewniak staruszek siedzący na gracyi w domu, nie spisywał w takiej księdze ważniejszych zdarzeń krajowych i rodzinnych, wiadomości potocznych, z dodatkiem też rozmaitych swych uwag i konceptów. W owym czasie, gdzie nie było gazet, któreby codziennie obznajamiały każdego z wszystkiem cokolwiek ciekawszego wydarzyło się w świecie, przy wielkiem zarazem rozwinięciu życia publicznego, książka taka zastępująca gazetę, zawierająca dla pamięci wszystko cokolwiek ważniejszego zdarzyło się w Rzeczypospolitej, była niezbędną dla każdego, ktokolwiek brał udział w sprawach publicznych, nieodstępne *vade mecum* każdego szlachcica. W niej obok ważniejszych mów sejmowych i instrukcyi poselskich, znajdowały się całe dyarjusze sejmowe, opisy wypraw wojennych, w których lub sam piszący, jak to najczęściej bywało, brał udział, lub też spisywał z opowiadania naocznych świadków. Tam obok poważnych aktów publicznych, znajdowały się krotofilne epigramata, wierszyki i uszczypliwe docinki, dotyczące stosunków krajowych i osób politycznych, obok spisu niektórych ziół skutecznych i wypróbowanych środków aptecznych mieściły się także daty narodzin i chrztów, zaślubin i pogrzebów, transakcye familijne, akta rozmaitych procesów, sporów granicznych, nieraz odpis którego ze sławniejszych panegiryków i tym podobne rozmaitości.

Otóż w takiej książce, zastępującej zwykle przodkom naszym całą bibliotekę, cały nieznany wówczas ruch dziennikarski, nie mogło prawie obejść się bez umieszczenia kilku lub kilkunastu oracyi, które piszący szczególniej był sobie upodobał, i z tego też powodu rad był zachować je sobie do użytku w jakiej sąsiedzkiej okazyi. Z takich to rękopiśmiennych ksiąg domowych, gdyby kto miał cierpliwość przejrzeć je w tym celu, dałby się ułożyć najdokładniejszy zbiór obrzędowych mów staropolskich, i w takim dopiero zbiorze możnaby wyśledzić dokładnie cały przebieg dziejów staropolskiej wymowy domowej. Niewdzięczna to w ogóle i mało użyteczna byłaby praca, zważywszy mianowicie wielki upadek wymowy w dwóch ostatnich stuleciach w Polsce. W śród tego upadku, wszystkie te niezliczone oracye, coraz to więcej wymuszone i dziwaczne, stają się w układzie i potworności swej tak do siebie podobne, iż obeznawszy się z jedną lub drugą, można mieć dostateczne wyobrażenie o innych. W tym celu pozwolę sobie przytoczyć kilka próbek owej wymowy.

Jednem z najważniejszych zdarzeń w kółku rodzinnem było przyjście na świat i chrzest nowego potomka. Dawało to powód w staropolskiem społeczeństwie do wielkiej solenizacyi, połączonej z mnóstwem stosownych ceremonii, które nie mogły, rozumie się, obejść się bez rozlicznych mów i odpowiedzi, wyrażających z jednej strony życzenia dla nowonarodzonego, opisujących splendor z dawien dawna domu, w którym ten na świat przyszedł, a z drugiej dziękujących za afekt, tak szczerze i wymownie wypowiedziany, panów sąsiadów i braci. Oto roztwieram jedną z takich w rękopiśmie pozostałych *Sylva rerum* domowych, i zaraz na pierwszych kartach znajduję przykład, jak podobne układano mowy;

Mowa gdy się komu syn urodzi.

„Dowcipne paradoxum mądry założył Pithagoras, czyliby rzecz podobna była, ażeby komu stargany wiek laty, odmłodnieć mógł i wesołą znów zakwitnąć młodością MMPP. nietrudna rzecz była dowcipnemu philozophowi chociaż tak zawikłaną rozwiązać proposicyą, gdzie oczy na sukcesyą familiey rozmaitych obrócił. Śmiele rzekł a zgoła w prawdzie *Repuerascunt parentes in filiis, quoniam filii et carnis et opum et memoriae paternam adeunt haereditatem*, y zgoła rzecz się ma według zdania mądrego Philosopha, bo takowych familii szczęście, przez długo nieustających potomków sukcesyą kwitnieje, którzy *continuata serie* po przodkach zawsze nikomu innemu młodości przypisać nie mogą, tylko spłodzeniu dziatek, w których do starości idące familie, mile i wdzięcznie mogą odmłodnieć. Ztąd jako po nieudolnej starości niczego się człek, jedno śmierci bliskiej obawia, tak kiedy *de successuro a parentibus haerede* nie masz nadzieje, ostatniego familiej upadku obawiać się przychodzi. Oczewistą tego paradoxum dowcipnego rezolutią w domu JWMMPana widzimy, gdy długiemi żądzami pożądanego potomka, z dobroczynnej ręki Bożej, otrzymałeś. Odmłodnieje ta starożytna familia, odmłodnieją *spes* na honory, któremi ten dom w Rzpltej przyjemnie kwitnął, odmłodnieje tu dzielność odważnych Hetmanów, odmłodnieje *dexteritas in comitiis* poradnych pieczętarzów, odmłodnieje powaga mądrych Wojewodów etc. (*numera dignitates qu aliquando fuerunt in hac familia*) których ta familia Rzpltej niegdyś podarowała. Cóż mam rzec o nadziei y expectatiey

rodzicielskiej, którą tu WMMPan wielką y osobliwą zamierza, mając za to, że jako zawsze wielcy *Reipub. heroes* z domu tego wychodzili, tak i ten zacny sukcesor po ich *vestigia* postępując, wielkim niegdy będzie w Rpltj senatorem, ponieważ *fortes nascuntur fortibus, nec imbellem aquilae regenerant columbam.* Niechaj szczodrobliwa ręka Boża, która osobliwym tym darem swoim WMMPana dzisiaj hojnie uraczyła, tej hojności swojej tak udziela, ażeby jako teraz WMMPana, w darowanym z nieba potomku żądzom za dosyć się stało, tak i potem zamierzone nadzieje w szczęśliwych najmilszego syna progresach skutek swój otrzymały!"

Na taką przemowę ojciec nowonarodzonego odpowiadał w taki n. p. sposób:

„Jeżeliby nam niebo zawsze tak stateczną pogodę obiecowało, jako wesoła czasem zorza na świat zawita, moglibyśmy w wesołej jutrzence zawsze się dnia wesołego spodziewać, a o pogodzie nieomylnej sobie pewnie rokować. Ale myli nas często zorza by też i najweselsza, za którą posępny dzień często następuje. Zorzać to bardzo wesoła w domu moim dzisiaj się pokazała, kiedym z daru Bożego wziął potomka *sanguinis et fortunae meae haeredem.* Ale jak pogodny po tak wesołej zorzy dzień nastąpi, *fata in occulto habent,* y ja nieomylnie prognostku uczynić nie mogę, gdyż *spes mortalium* często znikome bywają, a jako *non semper aurorae dies respondent* tak nie zawsze *posteri* w ojców *Vestigia* postępują. Co mię jednak wielce cieszyć może, nadzieja jest WMMPana, którą mi czynisz, obiecując że iako *majores* miał *gloriosos,* tak *filium* będę miał *majoribus non degenerem.* Oddaję dzięki uniżone za tak przyjacielską familiey mojej powagę, którą WMMPan *ultra merita* wynosisz, życząc nowego *in novo successore* incrementu. Zdarzyłby to Bóg iżby przyjacielskie *vota* WMMPana skutek swój wzięły, *neque falso omine amica* poszła *gratulatio.* Ja jako teraz imieniem moim y syna mego wdzięcznym zostaję, tak i na potem do usług WMMPana wraz z nim się oddaję, obiecując faworu tego testifikacyą w żywej chować pamięci, wespół upraszając, ażebyś jakoś się teraz przyjacielem stawił *in Votis,* tak potem w tychże przyjaźni *in gaudii perceptione societate* odzywał".

(D. n.)

Z tragedyi
„IWONIA"

przez J. Zacharjasiewicza.

Aktu drugiego scena piąta.

Iwonia — Beata.

Beata stoi z pokorą przy drzwiach do swej komnaty.

Iwonia: Pozdrowienie ci piękna Polko!
Beata: Pokłon możny hospodarze?
Iwonia: Zwiesz się Beata — nie prawdaż?
Beata: Tak, panie.
Iwonia: U nas to każde imie coś oznacza
Naprzykład: piorun, błyskawica, chmura —
Lwia grzywa — sokół — Cóż twoje oznacza?
Zapewnie słońce lub niebo majowe —
Beata: Ojciec mi mówił, że imie „*Beata*"
Znaczy *szczęśliwa.* —
Iwonia: Szczęśliwa?... O prawda,
Jesteś szczęśliwszą nad wszystkie niewiasty —
Bo która takie niebo ma w swych oczach
I włos tak lśniący jak drzewo hebanu,
Te długie rzęsy jak nici jedwabiu —
Usta piękniejsze niż dwa listki róży
A na nich uśmiech niebieskich rozkoszy
O których wierni na ziemi tu marzą...
Która to wszystko w jednym łączy ciele —
Ta jest szczęśliwa — szczęśliwsza nad wszystkie!... *(zbliża się do niej)*
Sam Gabyrel nie był piękniejszy od ciebie
Gdy niósł Proroka do siódmego nieba!...
Beato!...
Beata: Słucham rozkazu twojego.
Iwonia: W wierze twej Ciebie nazwano „szczęśliwą"
Cóż ci do szczęścia potrzeba?
Beata: O wiele
Wiele mi trzeba, możny hospodarze!
Trzeba mi matki, ojca, sióstr i braci
I rodzinnego domku mi potrzeba —
A gdy dziś wszystko w mogile i gruzach,
To dziś już tylko do mojego szczęścia
Tej garści gruzów, tych mogił mi trzeba —
Iwonia: Któż pomordował te drogie istoty
Któż ci rozwalił twój domek rodzinny —
Beata: To bracia twoi — możny hospodarze!
(Iwonia wzdryga się i odchodzi kilka kroków, po chwili)
Iwonia: Więc już do swoich nie masz poco wracać,
Tam będziesz samą jak palma śród puszczy—
Zostań tu z nami —
Beatał Możny hospodarze!
Dóm nasz rodzinny to jak listek drzewa
Które szerokie rozparło gałęzie —
A na tym listku było gniazdo nasze —
Opadł ten listek — lecz drzewo zostało.
Tem drzewem kraj nasz rodzinny!
Iwonia: Beato!
Nic tego szczęścia tobie nie zastąpi?
(Beata czyni zaprzeczające poruszenie, pauza)
Słuchaj Beato: ten pałac bogaty,
Wszystkie te złota i drogie jedwabie
U nóg twych złożę — tysiące niewolnic
Służyć ci będą na twoje rozkazy
A sam Iwonia swoje dumne czoło
Schyli przed tobą i błagać cię będzie *(tkliwie)*
O jeden uśmiech — o jedno wejrzenie!....
(Beata cofa się z przerażeniem)
Cała Wołosza zazdrościć Ci będzie
I rzekną ludzie na całej Wołoszy:
Szczęśliwa ona śród złota, jedwabi
Ale szczęśliwsza, że mogła owładnąć
Serce Iwoni, który nami włada!
(Beata objawia trwogę)
Przyjdą kupcowie z Jass do Padyszacha

I rzekną: Selim w całym swym haremie,
Nie ma tak ślicznej perły jak Iwonia! —

Beata: Możny Iwonio! Twe słowa mnie ranią —
Lecz ci przebaczam — bo to wiara twoja
Tak mówi z ciebie —

Iwonia: Jakiż u was zwyczaj
Mówić do kobiety, gdy serce ją pragnie?

Beata: U nas kobieta musi umiłować,
Potem rodzice błogosławią parze,
A w końcu kapłan przed obliczem Boga
Każe im wielką wykonać przysięgę. —

Iwonia: Możesz mi sprzyjać Beato?... (*Beata milczy*)
Mam skarby,
Perły i złoto, kamienie, jedwabie
Wszystko to twoje będzie?

Beata: Możny władzco!
Za nie dostaniesz niewolnic bez liku
Ale nie serca — nie duszy wzajemnej?...

Iwonia; Czyż twoja duma nie rośnie, gdy ujrzysz
U nóg twych władzcę Wołoszy — Iwonię?
Nie widzisz blasku zwycięztw na mem czole?
Oto w tej chwili nucą na Wołoszy:
Wielki Iwonia! Pogromił Bogdana,
Ćmę nieprzyjaciół jako mgły rozprószył,
Chocim już przed nim swe bramy otwiera,
Możny hospodar — szczęśliwy Iwonia!...
Czy cię nie łechce kobieto, tu — — w sercu,
Że ten Iwownia — bohater szczęśliwy
U nóg twych leży?...

Beata: Szczęśliwy Iwonio!
Wieniec zwycięztwa błyszczy na twem czole,
Tyś pan — bohater — tyś władzca Wołoszy!
O i my w Polsce cenimy odwagę,
Gdy hetman szczęśliw powraca z wyprawy,
Wtedy kobiety rzucają mu kwiaty —
Żona się tuli do żelaźnej zbroi,
Całuje rany.... lecz wszechwładny Panie,
Hetman nasz walczył w obronie ojczyzny —
A tyś bój staczał — o władzę dla siebie!
(*Iwonia cofa się w tył — w zadziwieniu*)

Iwonia: Kobieto-ktoż ci dyktuje te słowa?

Beata: Tak nam nasz rodzic prawił co wieczora!
(*pauza, Iwonia zamyśla sie*)

Iwonia (*po chwili*)
Beato!

Beata: Dzisiaj zwycięzkie twe wojska
Mordują dzieci, niedołężnych starców,
Palą, rabują... Tego w Polsce nie ma!
Tam tylko godło: Za kraj i za wiarę!
Takich rycerzy kochać naszą dumą!...
(*pauza, Iwonia zamyśla się po chwili*):

Iwonia: I ja za wiarę walczyłem Beato!

Beata: Jedna jest wiara — wiara chrystusowa.
(*pauza*)

Iwonia: A jam jest wróg wasz — jam Turek Beato,
Więc gardzisz Turkiem?... (*Beata milczy*)
Ale wiara wasza
Każe wam kochać nieprzyjaciół waszych. —

Beata (*zdziwiona*:)
Możny Iwonio — Tak każe nam wiara!

Iwonia: Dziwi cię zkąd znam wasze przykazania
(*wpatruje się w nią przez chwilę — potem bierze ją za rękę*)
Beato! Jam bliższy jest tobie jak myślisz
Bliższy i rodem i wiarą...

Beata (*z przestrachem*): Iwonio!
Słowa twe ciemne.... twe ręce tak palą!...

Iwonia (*w zapale wskazuje na pierś*)
Tu grunt jest dobry—kilka słów z ust twoich
Padło—tu— w serce... a przed moją duszą
Jakaś nieznana roztacza się przestrzeń —
Coś mię tam ciągnie... i ciągnie... Beato,
Nie znałem tego uczucia przed tobą,
Co dziś mi w duszy, zawrzało... zapiekło...
O będę godny twoich bohaterów
„Za kraj i wiarę!....

Beata (*strwożona*): Możny hospodarze,
Przebacz, gdy jakie nierozważne słowo...
Pozwól nam wrócić do naszej krainy —

Iwonia: Gardzisz Iwonią?... więc wracaj szczęśliwa,
W rodzinnej ziemi usłyszysz tam wieści —
Że możny władzca — szczęśliwy Iwonia
Gdy Ciebie ujrzał utracił swe szczęście
On, który pierwej miał rozkosze nieba,
Wie dziś, że czegoś więcej mu potrzeba! —

Beata (*strwożona*:)
Pozwól Iwonio — oddalić się muszę...
Sił mi nie staje....

Iwonia postępuje naprzód i zamyśla się — w twarzy jego widać walkę. Podczas tego we drzwiach komnaty pojawiają się Ramsza i Marta i wprowadzają omdlałą Beatę. Hieremi staje w głębi.

Scena szósta.

Iwonia — Hieremi.

Iwonia (*do siebie*:)
Iwonio! dotąd byłaś dzieckiem szczęścia!
Skarby — zaszczyty u nóg twoich leżą.
Sto pięknych dziewic w haremie cię czeka —
A przecież jedna — jedna cię wzgardziła!
Iwonio — tyś jej nie godzien — twa dusza
Była nikczemną.... tyś gonił za złotem —
Za złoto władzę kupiłeś — za złoto
Kupiłeś młodych, pięknych sto niewolnic
Lecz nie kupiłeś — kobiety!....
Dzisiaj masz władzę — a więc śmiało naprzód!
Okaż, że możny hospodar Wołoszy
Może mieć godło: „Za kraj i za wiarę!“
(*Hieremi niecierpliwi się — postępuje naprzód.*)

Hieremi: Możny Iwonio!

Iwonia (*z zadziwieniem*:) Ty bracie Hieremi?

Hieremi: Wierny twój sługa przynosi ci wieści
Że Chocim zdał się na łaskę Iwonii —
Posły już w drodze —

Iwonia: Byłem tego pewny,
Iwonii w życiu nic zawieść nie może....
A cóż Beata?....

Hieremi: Osłabła — tak prędko
Zda się, nie ruszy w podróż tak daleko,
Zresztą mówiłem Ramszy o rozbojach....
Iwonia: Wszelką wygodą otoczyć oboje....
A za wieść twoją o poddaniu twierdzy
Przyjmij w podziękę — starostwo Chocima!
Hieremi: Wielki to zaszczyt, szlachetny Iwonio!
Sługa twój nie ma słów aby dziękować....
Lecz możny władco! jam nierad od ciebie
Od twego boku odejść. —
Iwonia: O Hieremi!
Przeczuwasz pewnie chmurę nad mą głową?
Lecz się nie lękaj! Ta gwiazda Iwonii
Która mu dotąt świeciła na drogę
Będzie mu świecić i za grobem jeszcze!....
(pauza)
Hieremi! bracie od serca — w młodości
Byliśmy jako dwie gałązki drzewa!
Przecież dla ciebie byłem ja nieszczery!
Hieremi *(pokornie:)*
Sługa w głąb serca wglądać nie ma prawa!
Iwonia: Gdybym Hieremi w sercu czuł inaczej
A innym chciał się przed ludźmi wydawać?
Hieremi: To by niegodnem było twojej duszy.
Iwonia: I nikczemnością — nieprawda Hieremi?
Hieremi: O być nikczemnym nie umie Iwonia!
Iwonia: A gdyby grzech ten plamił moją duszę!
Hieremi *(uroczyście:)*
To zmyć go głośną przed światem spowiedzią.
Iwonia *(w zapale — zrzucając turban z głowy:)*
Więc oto zrzucam, co mnie dotąd wiodło
Do szczęścia ziemi — do bogactw — zaszczytów.
Hieremi *(przerażony:)*
Możny Iwonio!
Iwonia: Idź, powiedz Wołoszy
Niechaj się dywan bezzwłocznie zgromadzi,
Niech lud otoczy pałac hospodara,
Niechaj świat cały usłyszy — niech Selim
Targa swą brodę.....
Hieremi *(w pokorze:)* Możny hospodarze!
Iwonia *(uroczyście:)*
Jam chrześcianin! Hieremi!
Hieremi: Iwonio!
Iwonia: Władca Wołoszy dziś mówi do ciebie:
Idź i wypełnij rozkaz hospodara!
(Hieremi zgina się w pokorze — Iwonia odchodzi.)

Scena siódma.

Hieremi *(sam — patrzy za nim z pogardą:)*
Z jaką on dumą teraz stawia kroki
Jakby był wyższym nad mocarzy ziemi!...
O dziecię szczęścia — szczęście cię popsuło!
Nadmiarem szczęścia stałeś się zuchwałym,
Nie mając wyższych dla siebie zaszczytów
Chcesz upaść!.... (po chwili) Jednak ja temu nie winien,
Jam go nie popchnął!.... A że Bóg mi sprzyja,
To już widoczna........ marzenia mej matki
Nie były płonne.... hospodar Hieremi....
(potyka się na turbanie)
Cóż mi zawadza?.... *(kopie turban)* precz z drogi.... *(postrzega turban)* ah! turban,
(podnosi turban, kołpak swój odrzuca.)
O chętnie bym się i z tobą pobratał!....
(po chwili)
Wszakże ten turban — to dar Padyszacha
Na ziem go rzucił — nogami podeptał —
Widzieli ludzie.... *(ogląda się)* prócz mnie nikt
(pauza) nie widział!....
Precz myśli brudna! — Selim-by nie wierzył;
Nie.... zresztą to by było nikczemnością —
Na cóż mi taką drogą iść do szczęścia,
Kiedy mnie sama fala tam zaniesie!.....
(po chwili)
Lecz nie zawadzi — wyprawić Tatara
By Selim wiedział, co zaszło w Wołoszy!
(Idzie spiesznie ku drzwiom — wybiega Marta)

Scena ósma.

Marta — Hieremi.

Marta *(woła:)* Synu — mój synu!
Hieremi: To ty wołasz matko?
Zdawało mi się, że jakiś głos obcy —
Marta: Myśmy tam mało nie pomarli z strachu,
Iwonia tutaj rozmawiał tak żywo —
Rzucił turbanem —
Hieremi: Mówiliśmy z sobą
O ważnych rzeczach — jeśli milczeć umiesz,
To ci opowiem.... hospodar odstąpił
Wiary tureckiej —
Marta: Co, odstąpił wiary?
Hieremi: Odstąpił wiary dla dobra Wołoszy!
Marta: O wielki Boże! Tożto radość będzie
W całej krainie!.... O to ty Hieremi
Tegoś dokazał — On ciebie tak kocha!....
Hieremi *(ponuro:)*
Nie pytaj o to.... *(po chwili)* by dzieła dokonać,
Trzeba mi teraz o wszystkiem tu wiedzić —
O każdem słowie — o każdem spojrzenia
Co robi Ramsza, Beata, Logofet,
Możny Iwonii przyjaciel..... Więc wszystko
Cokolwiek ujrzysz, cokolwiek usłyszysz —
Powiesz mi matko!
Marta *(klęka i ściska go za nogi):*
O! wszystko mój synu
Tyś stał się ojcem sierót chrześciańskich —
Hieremi *(wyrywa się jej):*
Puść mnie —
Marta: Gdzie idziesz?
Hieremi *(z naciskiem):* W służbie mego pana!
Marta: Bóg z tobą! —
(Hieremi odchodzi — Marta klęcząc błogosławi mu)

Koniec aktu drugiego.

---

*

PISMA CZASOWE POLSKIE.

W naszem dziennikarstwie przeważają nad innemi sprawy przemysłowo-rolnicze i literacko-naukowe. Polityki własnej, ojczystej nie mamy, bo nie mamy życia politycznego. Ztąd więc pochodzi że dzienniki nasze polityczne zajmują się w sprawach krajowych jedynemi pojawami życia narodowego, jakie nam są dozwolone: staraniem o byt materyalny i oświatę. Jesteśmy i w tych dziedzinach mocno uszczupleni, lecz nie można ich nam wydrzeć zupełnie, bo póki żyjemy, póty musimy żyć cieleśnie i duchowo, musimy się starać o utrzymanie bytu materyalnego i umysłowego. Do niedawna byliśmy tak pod względem starania o nasz byt materyalny, jak o życie umysłowe bardzo opieszali i rozstrzeleni. Nietylko między krainami tej samej Ojczyzny nie było żadnej w tej mierze spólności, ale nawet między obywatelstwem pojedyńczych krain nie było żadnej.

Indywidualizm i samowolność panowały.

Pojedyńczy gospodarował dla siebie, jak mógł; uczył się i dzieci swoje dla siebie, jak mógł. Starania nie wychodziły za obręb domowej zagrody, dbaliśmy o swobodę prywatną, publicznej swobody nie uzyskaliśmy, owszem zagradzaliśmy sobie drogę do niej. Brakowało skupienia się, zespolenia sił, zaczęli więc górę brać nad nami ci, którzy rozumieli ogromną władzę spólności. Cierpiał na tem ogół od dawna, i wiele klęsk powszechnych ztąd powstało. Złe zaczęło dojmować i pojedyńczym, ale dużo czasu upłynęło nim od żalu i skarg przeszliśmy do pojęcia że czyn nas zbawi.

Przyszedłszy do tego rozumienia rzeczy, jeszcześmy byli dość długo w rozterce między sobą, o to: jaki ma być ten czyn zbawczy? Tylko ludzie prawdziwie kochający Naród, którzy prawdziwie obywatelskim duchem przejęci, są gotowi poświęcić swoje samowolne dążenia, swoją próżność i chęć górowania dla dobra ogółu, ci pojmują: że czynem tym zbawczym nie jest nic innego, tylko praca zespolona tak w życiu materyalnem jak umysłowem.

Myśl ta, zespolenia pracy, utorowała sobie już drogę w dziedzinie materyalnego życia naszego. Czemże innem jest owo zawiązywanie się spółek handlowych, przemysłowych i rolniczych jeżeli nie zespoleniem pracy i kapitału, który jest tylko reprezentantem pracy?

Na polu życia umysłowego pozostaje nadzwyczaj wiele, że nie powiem wszystko, do zrobienia. Zawsze jeszcze wielkie i ważne przedsięwzięcia literackie lub artystyczne zawdzięczają tylko pojedyńczych osób dobrej woli, albo spekulacyjnemu duchowi swoje istnienie.

Zespoleniem sił stanęły zaledwie dwa lub trzy towarzystwa, dwa lub trzy pisma literacko-naukowe i te wiodą żywot dosyć słaby dla braku udziału w obywatelstwie, dla przewagi dążeń indywidualnych, samowolnych w świecie literackim.

Te uwagi nastręczyło nam spostrzeżenie, że pisma nasze czasowe, chcąc dać obraz życia w Narodzie, zbierają skrzętnie wiadomości o ruchu przemysłowo-handlowo-rolniczym i ruchu literackim. Między temi dwiema dziedzinami życia narodowego widzimy we wiadomościach podawanych przez pisma czasowe właśnie tę ważną różnicę, że co do przemysłu handlu i rolnictwa zespolenie sił jest godłem wszelkich projektów, planów i samychże przedsięwzięć: w rzeczach literatury sztuk i oświaty w ogóle nie słychać o tem. Jeżeli gdzie jest w tej ostatniej dziedzinie zebranie pewnej ilości pracowników i zdolności, to nie widać jeszcze nigdzie organizacyi, i pierwszy lepszy podmuch kapryśnej opinii lub obrażonej próżności rozprósza to grono.

Zwróćmy uwagę na nowe przykłady zespolenia sił ku celom publicznym. Oto: w Kijowie tworzy się stowarzyszenie dla podniesienia gospodarstwa i rolnictwa. Myśl powodująca zebranych w tym celu wyrażona jest w słowach jednego z członków tego zebrania, piszącego o nim do Gazety Codziennej: „W obec zmian w stosunkach rolniczych co chwila oczekiwanych, w obec trudności jakiemi jesteśmy otoczeni z powodu martwego ruchu handlu, w obec coraz bardziej podnoszących się kosztów produkcyi rolnej, rolnictwo nasze nic zdołałoby się ostać bez nowej siły odżywczej, którą w zjednoczeniu pojedyńczych usiłowań znaleźć spodziewamy się.“

Z drugiej strony przeciwnie: Korespondent poznański przedstawia ostygnięcie życia. Targ na wełnę, kontrakty świętojańskie i połączony z niemi zjazd wiejskiego obywatelstwa, wyścigi konne, rolnicze wystawy, przyjezdny teatr polski, różne narady i zebrania obywatelskie, uroczyste posiedzenia naukowe, wreszcie bale, koncerta i t p. wszystko to bywało „naturalnym od lat wielu pochopem do ożywionej pulsacyi, w leniwych nieco i martwiejących żyłach Poznania... To wszystko jednak od lat kilku zamiast się wzmagać, widocznie na sile, ochocie i liczbie upada, pod niejednym względem w martwy już przechodząc formalizm, który siłą tradycyi jeszcze tylko żywot swój przewleka. Przyczyna leży jużto w malejącym i ubożejącym zastępie obywatelstwa, które zawżdy bywało jądrem tego czerwcowego życia, jużto w przyspieszonych i ułatwionych komunikacyach“. Po części przypisuje zaś korespondent ten brak ruchu w Poznaniu temu, że przez koleje żelazne i „radykalną przemianę warunków obrotu interesów“ (?) stało się zebranie czerwcowe w Poznaniu zbytecznem, po części jednak zawsze z opieszałości obywatelstwa. Nawet p. Pfeifer nie zjechał ze swoim teatrem. Nie chcemy ztąd wnioskować jeszcze o braku ducha spólności w Poznaniu, bo istnieją tam instytucye, które są tego ducha owocem i które go utrzymują; jednakże uwagi korespondenta, które, ile wiemy, nie są bezzasadne, smutne na nas czynią wrażenie i smutnie wróżą o przyszłości Poznania.

Z Poznania zwróćmy się ku Wołyniowi znowu. Tam piszą z Żytomierza i użalają się na rzecz poniekąd zupełnie przeciwną, chociaż prowadzącą także do rozstrzelenia sił.

Tam się użalają na zbyteczny patryarchalizm, na zbyt wielką ilość przewodników w życiu towarzyskiem, którzyby pod swoje protektorskie, mecenasowskie skrzydła radzi zagarnąć całe towarzystwo. A gdy każdy chce mieć wszystko, nikomu nic nie zostanie. Jednakże fakt dowiódł, że tylko chęci tych protektorów są może niedobre ale sku-

tek żaden z nich nie wypływa. Tak nie udało się owym uzurpatorom przeszkodzić, by się publiczność nie zebrała licznie na odczyty anatomii p. Romańskiego, chociaż zabiegów było dosyć: udało się znowu popsuć sukces amatorskiego teatru, ale nie udało się zepsuć go Kątskiemu. Takie rzeczy i gdzieindziej się zdarzają. Jednak w polskich krainach nabierają one większej wagi, bo na te ciasne koła towarzyskie ograniczone jest życie narodowe. Do pojawów zespolenia sił umysłowych ku dobru powszechnemu należy założenie Towarzystwa lekarskiego w Żytomierzu. Pierwsze kroki ku temu uczynił w początku roku 1859 dr. Włodzimierz Romański; dóm swój otworzył na przygotowawcze prywatne zebrania najstarszy wiekiem z żytomierskich lekarzy doktor Karol Kaczkowski. Dwudziestu czterech lekarzy podpisało się na pierwszej liście członków. Podano prośbę z projektem ustawy do zatwierdzenia rządowego, odbywając tymczasem posiedzenia prywatnie „*sub voto* milczenia“ pod prezydencyą dr. K. Kaczkowskiego. Dziś towarzystwo zatwierdzone odbyło 1. Maja 1860 pierwsze urzędowe posiedzenie i rozpoczęło czynność publiczną. Tak to gdzie jest chęć, wszystkiego dokazać można. Dowiadujemy się oraz że i podolskie obywatelstwo „zamyśla i rozprawia“ o zawiązaniu towarzystwa rolniczego.

Z Wilna donoszą Gazecie Warszawskiej szczegółowo o zjeździe obywateli wybranych przez cztery gubernie w celu naradzenia się „nad środkami wspólnej pracy około podniesienia gospodarstwa krajowego“. Delegaci tymczasowi odbyli pierwszą naradę na której wybrano komitet pod prezesostwem p. Edwarda Romera, z gubernii kowieńskiej, do ułożenia ustawy. Było to przy końcu Kwietnia, 4 maja już były prace komitetu ukończone i projekt przedłożono zgromadzeniu. Po 15. maja mieli się delegaci na nowo zjechać w celu dalszych narad. Będzie więc i Wilno zapewne wkrótce miało swoje Towarzystwo gospodarskie. Równocześnie zawiązali obywatele tamtejsi: książę Wittgenstein, hrabia Stefan Plater i bankier wileński p. Heiman towarzystwo oświetlenia gazem miasta Wilna. Same obce nazwiska ale serca podobno swojskie.

Wśród tego rozpatrywania się po całej polskiej ziemi, by dostrzedz nowego zwrotu obywatelskich czynności ku dobru powszechnemu, przynoszą nam pisma warszawskie sprawozdanie o czwartem z kolei dorocznem publicznem posiedzeniu Towarzystwa rolniczego w Warszawie. Niemożemy tu pominąć uwag zamieszczonych z tego powodu w Gazecie Codziennej, które są jakoby umyślnem ztwierdzeniem naszego zdania, że obywatelstwo polskie przejmuje się dziś zasadą: zespolenia pracy. Redakcya Gazety Codziennej wystawiwszy korzyści i zadanie ogólnych zebrań Towarzystwa, niepublicznych, tak się wyraża o publicznych: „Publicznych posiedzeń Towarzystwa rolniczego celem jest kraj cały obznajomić z rezultatami swoich usiłowań, wszystkim klassom społeczeństwa pokazać, że kilka tysięcy ziemian naszych nie na próżno wzięło sobie za żądanie wspólną pracę; że szczerze i z spoświęceniem krzątają się około wydobycia z łona naszej ziemi tych skarbów, jakie w niej natura złożyła! Jak towarzystwo dba o moralne dźwignienie stanu rolniczego, o tem świadczą nagrody w roku bieżącym przyznane. Między nagrodami przyznanemi za odszczególnienie się w różnych gałęziach gospodarstwa, co już samemu gospodarzowi korzyść przynosi, zajmują pierwsze miejsce nagrody: „za najtrafniejszy stosunek dworu do ludności wiejskiej; za okazaną najskuteczniejszą dbałość o zdrowie ludności wiejskiej; dla wzorowych leśniczych; dla wzorowych dzierzawców folwarcznych; za wzorowe utrzymywanie dróg miejskich.“ — Odczytano na tem posiedzeniu dwie rozprawy wielkiej wagi, które zajmą zapewne miejsce nieostatnie w piśmiennictwie gospodarsko-krajowem, a przez to iż nie są specyalno-rolnicze, lecz odnoszące się bardziej do publicystyki, zajęły ogół słuchaczów; p. Ludwik Gorski odczytał „uwagi o obecnym stanie robotników wiejskich,“ p. Gustaw Zieliński zaś „rzut oka na przepisy policyi miejskiej w Prusach i Francyi.

Ruch taki między obywatelstwem ku polepszeniu i zapewnieniu ogólnego dobra materyalnego odbija się i w dziennikarstwie. Jakoż oprócz rolniczych sprawozdań o przedsięwzięciach gospodarsko-przemysłowych, znajdujemy w dziennikach politycznych wiele rozpraw odnoszących się do handlu, rolnictwa albo przemysłu, pomimo że w tej gałęzi posiadamy pism czasowych wielką liczbę w stosunku do innych gałęzi piśmiennictwa.

Przy Gazecie Codziennej wychodzi jako dodatek bezpłatny Gazeta rolnicza, przemysłowa i handlowa; przy Gazecie Warszawskiej podobneż pismo dodatkowe pod tytułem Korespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy; Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych, dziennik niegdyś na równi stojący z dwoma dopiero wzmiankowanymi, zmniejszywszy swoje rozmiary, ogłosila się wprost organem domu zleceń rolników płockich, i jest interesom gospodarskim bardziej poświęcona niż innym; nareszcie Roczniki gospodarstwa krajowego wydawane przez Towarzystwo gospodarskie należą do pism najbardziej rozszerzonych w krajach zakordonowych. W naszym kraju jest ta gałęź piśmiennictwa także dosyć silnie zastąpiona; obok trzech politycznych dzienników (Gazeta Lwowska, Przegląd Powszechny i Czas); trzech ściśle-literackich (Dodatek do Czasu, Kółko rodz. i Dziennik literacki), dwóch ludowych (Dzwonek i Przyjaciel domowy), które także zajmują się sprawami gospodarskiemi (podobnież jak i nasze polityczne pisma) istnieją przecież jeszcze trzy wyłącznie gospodarstwu (rolnictwu, handlowi i przemysłowi) poświęcone pisma, jako to: Ognisko, Tygodnik rolniczo-przemysłowy i Rozprawy towarzystwa gospodarskiego we Lwowie.

Z tych najprzystępniejsze jest dla ogółu Ognisko. Już samo imię redaktora (p. Walerego Wielogłowskiego) jest rękojmią, że połączyć potrafi powab z pożytkiem. Lecz treść i forma artykułów niepisanych przez redaktora dowodzi, że łączą się tam siły umysłowe zpokrewnione z usposobieniem i zdolnościami jego. Jeżeli zresztą nie we wszystkiem można się zgodzić z Ogniskiem co do zapatrywania się na kwestye krajowe, to jednak przyznać mu należy właśnie w tem zasługę, że te kwestye obrabia i pod dyskusyę poddaje. W tym kwartale podało Ognisko szereg artykułów pod tytułem: „O wywozie produktów naszych za granicę“. Nie nasza rzecz wdawać się w tę kwestyę, lecz zwracamy uwagę czytelników na ożywiony i nawet nieraz

malowniczy sposób traktowania rzeczy, chociaż tak ważnych ale w istocie suchych i cierpkich.

Tak wystawia np. p. Walery Wielogłowski handel nasz zbożowy w postaci towaru tułacza na targu: „Pod gołem niebem, z czołem na niepogodę i niefortunne losy wystawionem, z nogami w błocie grzęznącemi stoi po całych dniach na targowisku, cierpliwy choć upokorzony i patrzy w niebo prosząc o pogodę, a wygląda Mośka w nadziei, że ściągnie na siebie jego miłosierną uwagę i odda mu się w jassyr pod jakiemi już bądź warunkami. Mosiek wie, że ten towar tułacz musi szukać schronienia, bo mu wracać do domu daleko, a wreszcie chociażby wrócił, to go tam czeka inny rodzaj niewoli, to jest sekwestracya za dług lub za podatki, przeto Mosiek spojrzy na niego od niechcenia i z ukosa, jakby go nie chciał, jakby nim gardził i słowa nie rzekłszy, odejdzie. Tu następuje czuła apostrofa zboża do Mośka, ażeby się zlitował i wziął je do siebie, dawszy produktowi jaki bądź grosz odczepnego — Mosiek bywa czułego serca i nie dla zysku, broń Boże! ale dla dogodzenia producentowi kupuje zboże". — Dalsze losy owego zboża opisane podobnie z humorem a prawdziwie, kończą się wnioskiem, aby zamiast się wpraszać do Mośka, myśleć o szpichrzach, składach i magazynach, przy kolei żelaznej lub spławnych rzekach. Tym sposobem będzie podobno i łatwiej zwabić kupców zagranicznych na nasze targi, i transportować zboże wprost za granicę bez pośrednictwa Mośków.

Takich kwestyi ważnych dotyka Ognisko wiele sposobem przystępnym i powabnym.

Stanisław Staszic, szkic biograficzny, *przez ~~Stanisława~~ Zawadzkiego. Lwów 1860.*

Ściślejsze prace literackie usuwają się dzisiaj w głąb przed nawałem wydarzeń w świecie politycznym. Wytężamy oko to na zachód, to na południe, i w łunie bojowej szukamy jutrzenki złotych naszych nadziei. Cicha a głęboka w żywot nasz sięgająca praca, praca bez szumnych, jaskrawych frazesów nie ściąga na siebie uwagi. A przecież na tych cichych, zwolna postępujących pracach opiera się naród, gdy przeminie fala uniesień, gdy rozprysną się tęczowe bańki uludy.

Do rzędu tych prac, aczkolwiek w skromniejszych rozmiarach, należy Stanisława Staszica szkic biograficzny. Postać Staszica należy w dziejach do jednych z najpiękniejszych postaci. Nie jedno pióro kusiło się o tę postać, biorąc ją do szkiców z owego czasu, lub do uosobienia pewnej idei, która tak jasno wyraziła się w życiu tego wielkiego człowieka. Były to jednak przeważne pióra beletrystów, które tę postać szkicowały i tyle tylko nam z niej odsłoniły, ile im do układu obrazu potrzeba było. Dokładnej biografii Staszica nie mieliśmy dotąd — pan Władysław Zawadzki zrobił pierwszy krok do tego, i co z znajdujących się we Lwowie materyałów mógł zebrać, to zebrał, obrobił i w całość ułożył. Pracę swoją umieszczał częściowo w Dzienniku literackim, a dzisiaj wydał w osobnej książce.

W pierwszej części kreśli autor obszernie żywot Staszica prywatny, publiczny i naukowy. Materyały, których użył do tego są: Autobiografia Staszica, złożona przez niego w archiwum Towarzystwa przyjaciół nauk; Pochwała przez J. Ur. Niemcewicza, czytana na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk; Życiorys Staszica, przez Skimborowicza i Pamiętniki Kajetana Koźmiana.

Szczupły to wprawdzie zasób materyałów do biografii takiego człowieka, jakim był Staszic. Mąż stanu, nauki, poeta i organizator zbyt wiele śladów zostawił po sobie, aby je spisać na kilku kartach dziejów naszych. Pochwalić jednak musimy skrupulatność autora, z jaką starał się korzystać z każdej drobnostki, która na charakter i stanowisko Staszica właściwe rzucała światło. Autor nie poprzestaje na malowaniu tej osobistości, jaką ona była w życiu prywatnem i publicznem, ale tu i owdzie sięga na grunt tej pięknej duszy, i opowiada nam jakie wpływy i pobudki działały na wyrobienie tego szczególnego charakteru. Przytem gdzie tego potrzeba, maluje nam jako tło charakterystykę owego czasu i epoki z jej rozmaitemi przeobrażeniami, w której żył i działał Staszic. Widzimy tam Polskę przed sejmem czteroletnim, sejm czteroletni, zawiązanie się towarzystwa przyjaciół nauk i wpływ Staszica na kierunek działań tegoż towarzystwa. Następnie czynności urzędowe Staszica podczas księztwa Warszawskiego i królestwa kongresowego. Pierwsze tutaj miejsce zajmują czynności organizacyjne Staszica w urządzeniu edukacyi krajowej i podniesieniu górnictwa w kraju. Kreśląc naukowy zawód Staszica rozbiera autor pokrótce jego dzieła i wymienia okoliczności pod jakiemi były one pisane.

W drugiej części wylicza autor dzieła Staszica w ich rozmaitych wydaniach. Jestto najdokładniejszy spis bibliograficzny, jaki się dotąd ukazał. Niemniej ciekawe światło rzuca autor na filantropijną stronę charakteru Staszica, którego dotąd należycie nie uwzględniono. Wtym celu zamieszcza na końcu książki mało dziś znany kontrakt czyli statut utworzonego przezeń Towarzystwa Hrubieszewskiego, które wedle myśli i pierwotnej ustawy założyciela miało z czasem ogarnąć całą Polskę i obdarzyć wszystkich włościan własnością ziemi i wolnością. Poczem następuje testament Staszica. Rozpoczynają go te słowa: „Mocno przekonany będąc, iż główném przeznaczeniem człowieka na tej ziemi jest, aby dobrze czynił ludziom, aby swojemi czynami całego życia starał się ulepszać los swoich bliźnich, los drugich ludzi, aby nawet usiłował, by dobroczynne ich za życia skutki uszczęśliwiały jeszcze pokolenia następnych ludzi, ku dopełnieniu tego przeznaczenia dążyłem ciągle przez całe moje życie". A na końcu czytamy znowu: „Przy trumnie nie ma się palić więcej nad sześć świec. Światło ognia świec jest zupełnie niepotrzebne dla umarłego, trawi tylko marnie rzecz, która może być potrzebna i użyteczna żyjącym ludziom. Zamiast tej czczości marnej ma być w dzień mojego pogrzebu rozdane dziesięć tysięcy złotych na kaleki, chorych i ubogich"....

Tych kilka słów wystarczy, aby odsłonić tę piękną postać, która jak biały marmur świeci śród burzliwych chmur upadającej nieszczęśliwej ojczyzny naszej.

X.

Rocznice historyczne.

1 lipca 1569 r. Unia Korony z Litwą w Lublinie.

Z dziejów Unii, owej długiej dążności i pracy narodu pod panowaniem kilku pokoleń królewskich, wybieramy najświetniejszą niejako chwilę, uroczysty akt publicznego jej ogłoszenia i zaprzysiężenia. Stojąc u kresu tej wspaniałej drogi, niepodobna nie rzucić okiem wstecz na przebieżaną przestrzeń.

Patryarchalny wiek wielkiego króla chłopków wyrobił ojczyźnie naszej stanowisko pewnej przewagi śród sąsiedzkich narodów. Naród ujrzał nadeszłą chwilę kiedy mu przyszło zacząć spełnianie historycznego posłannictwa swego z sztandarem wolności i wiary. Zaczął je od podania bratniej dłoni Rusi. Ale posłannictwo jego miało szersze granice. Śród wschodnich borów przemieszkiwał lud chodzący w pogaństwie a nieprzyjazną potęgą zagrożony od północy. Z krzyżem na piersiach, z mieczem w dłoni torowali sobie germańscy kawalerowie drogę do władzy i ucisku. Więc w imię wiary, w imię miłości Chrystusowej pospieszyła dziewicza królowa Polski z podaniem ręki zagrożonej Litwie.

Długie pasmo lat poczęło teraz pracować nad ścieśnieniem węzłów braterstwa między temi narodami. Jednak dopiero w przeszło 180 lat po złączeniu się królewskiej pary tych dwóch narodów, padło prawnukowi oblubieńca polskiej Jadwigi ukończyć mozolne dzieło ojców swych.

W tym właśnie celu zwołał Zygmunt August w grudniu 1568 roku sejm do Lublina. Chętnie zgromadzali się Polacy gorliwie zawsze podzielający zbawienną dążność królów swych. Zgromadzali się i panowie litewscy, lecz mniej chętnie, zapaśnem okiem poglądając na chwilę walki o osobiste swe prerogatywy. W Litwie bowiem niedorównywała organizacya społeczna jeszcze o wiele koronnej. Podczas gdy w koronie światło wolności i równości rozlało swe promienie na cały ogół szlachecki, używały jej w Litwie tylko możniejsze familie książęce, dzierżąc nad drobną szlachtą despotyczne berło przewagi. Teraz zaś, gdy przez Unię miały się zlać oba narody „w jedno nierożne i nierozdzielne ciało, w jedną spólną Rzeczpospolitę“, niosła wierna swej myśli narodowej szlachta polska uciśnionej braci litewskiej godło wolności i równouprawnienia, niosła obalenie wszelakiego despotyzmu. To hasło rozchwiewało tylekrotne usiłowania Zygmunta Augusta, uderzając o upor książąt Litewskich, na których czele stali Mikołaj Czarny Radziwiłł wojewoda wileński i hetman w. księstwa litewskiego, i Achacy Czechma wojewoda malborski. Dziś jeszcze, gdy owi groźni zapaśnicy legli już w grobie, duch ich ożywiał wielu spółziomków, i przeciągał dokonanie zbawiennego dzieła.

Przyłączyła się do tego jeszcze druga niemniej ważna okoliczność. Stanowiły ją południowe prowincye państwa, t. j. księztwo kijowskie, ziemia podlaska i wołyńska. O bezpośrednie przyłączenie tychże do własnego kraju spierały się oba narody. Litwa żądała uprawnienia teraźniejszego ich posiadania, a Korona zwrotu tej dawnej posiadłości swej, tembardziej, gdy wspomnione prowincye wystawione na bezustanną drapieżność Tatarów, potrzebowały czułej i silnej opieki, której im Litwa dać nie mogła, mając obowiązek bronienia kraju od Moskwy, coraz pożądliwszej nowych zaborów.

Otwarto wreszcie sejm na dniu 10 stycznia 1569 r. pod laską Stanisława Sędziwoja klejnotu Nałęcz Czarnkowskiego, referendarza koronnego. Według zwyczaju powitał marszałek sejmowy króla piękną mową. W żarliwych słowach przedkładał mu prośbę całego narodu, aby raczył teraz ukończyć to wielkie zbawienne dzieło. Wspomniał o niejednej zawadzie która powstać może, ale „przetoć Miłościwy Panie Pan Bóg dał miecz“ — kończył marszałek — „aby się go zły bał, a dobry każdy i spokojny obronę i ratunek powinny swój miał, pomnąc na to, że dla niesprawiedliwości a złości królestwa upadają. Co wszystko tak sprawiwszy, o jakoż sporo i jakoż wolno będziesz bujać pod same niebo, nasz miły, prześliczny orle biały, a nigdy cię ani słońce nie przepali, ani ci zimno nie dokuczy ani słota nie zaszkodzi, bo ty ptak onego wielkiego Jowisza, któremu się każde kolano kłania.“

Na drugi dzień zaraz wniósł znowu podkanclerzy koronny Piotr Myszkowski biskup płocki powtórną propozycyę względem unii. Poparli głos jego najpierwsi dostojnicy Korony jak Arcybiskup gnieźnieński a prymas państwa, wielu z biskupów, dygnitarzy świeckich i posłów. Z przybyciem jednak panów litewskich zaczęły się spory. Żądali oni bezwarunkowego potwierdzenia wszystkich praw swych dotychczas im przysługujących. I nastąpiły smutne sceny, a Zygmunt August był zmuszonym okazać, że „ma miecz, który mu Bóg dał, aby się go zły bał.“ Zaledwie dopiero 5go marca zatwierdzono przyłączenie południowych prowincyi do korony, a dwaj zacni senatorowie Konstanty książe Ostrogski wojewoda kijowski i Aleksander książe Czartoryski klejnotu Pogonia wojewoda wołyński, złożyli królowi z poświęceniem osobistych widoków hołd, jako lennicy ziem owych. Piękny ten przykład sprawił zbawienne wrażenie na umysłach panów litewskich. Zajęto się szczerze ułożeniem punktów Unii i wyznaczono dzień 1 lipca do publicznego ogłoszenia i zaprzysiężenia onych. —

W bogato przybranej sali zamku lubelskiego zebrał się na dniu pomienionym cały sejm. Oparty o główny filar sali stał tron królewski, nad nim zawieszony orzeł srebrny a jeszcze wyżej przepyszny baldachin. Zasiadł na nim Zygmunt August. W czarnych pięknych oczach jego błyszczała radość na widok zbliżającej się chwili, w której nieśmiertelny pomnik panowaniu swemu budował. Owa radość i dobroć przebijała się w całem obliczu, poważnem, ojcowskiem, bo dziś już ukraszonem śrebrzejącą się brodą. A ileż wdzięku nie dodawała mu ta złota polska korona! — Na ramionach obwisł płaszcz bogato złotem i drogiemi kamieniami tkany, w prawej ręce dzierżył berło Chrobrego, a w lewej opartej o ramię tronu trzymał złote jabłko z krzyżem. A nogi swe królewskie, przybrane w bogate sandały wsparł na poduszkę, ułożoną na wielkim kosztownym kobiercu.

Niemniej zacne grono otaczało wspaniałą królewską osobę. Po obu stronach tronu zasiedli krzesła dwaj arcybiskupi, Jakób Uchański Radwan arcybiskup gnieźnieński i Stanisław Abdank Słomowski lwowski. Za nimi następował dłuższy szereg biskupów w dwóch rzędach od tronu. Na 15 krzesłach zasiedli panowie duchowni w szatach i biretach duchownych, a każden z nich z krzyżem na piersiach. Dopiero po nich zajęli dalsze krzesła panowie świeccy. A najpierwsze pan krakowski pierwszy świecki dostojnik w Polsce, naówczas Sebastyan Mielecki klejnotu Gryff. Obok niego 31 wojewodów. Między tymi i obaj owi zacni książęta Konstanty Ostrogski i Aleksander Czartoryski, nieco dalej bohaterski książe Roman Sanguszko klejnotu Pogonia, któren niedawno tu w Lublinie po wzięciu Ule działa i więźnie moskiewskie swemu monarsze w darze rycerskim składał. Przeszło ośmdziesiąt pozostałych jeszcze krzeseł senatorskich zajęli kasztelanowie i wielcy urzędnicy państwa. Otaczali ich mnodzy posłowie ze wszystkich ziem polskich. W jednej wielkiej grupie stali obok siebie bracia mazowieccy i wysłańcy dalekiej północnej Kurlandyi, Inflant i Semigallii; Krakowianie obok posłów

litewskich, żmudzkich, ziemi smoleńskiej pskowskiej i dalszych; wielkopolanie obok ukrainców, podolaków i braci z całej Rusi czerwonej. Śród poważnych długich kontuszów różnego kroju i czapek sobolich, przebijały nierzadko krótkie płaszcze hiszpańskie i włoskie, powiewały wspaniale strósie pióra u kapeluszy. Lecz w całem zgromadzeniu, w całej tej świątyni narodowej polskiej gorzała tylko jedna wyniosła myśl braterstwa i równości.

Śród poważnego milczenia przystąpiono do odczytania artykułów unii następującej treści:

Więc najpierw jest już królestwo Polskie i wielkie księztwo litewskie jedno, nieróżne i nierozdzielne ciało, a także nieróżna, ale jedna spólna Rzeczpospolita, która się z dwu państw i narodów w jeden lud i państwo zniosła i spoiła. A temu obojemu narodowi żeby już wiecznemi czasy jedna głowa, jeden pan i jeden król rozkazował, który spólnemi głosy od Polaków i od Litwy będzie obierany, miejsce obrania w Polsce, a potym na królestwo Polskie pomazan i koronowan w Krakowie będzie. — A iż tytuł wielkiego księztwa Litewskiego i urzędy ostawają, tedy przy obieraniu i koronacyi ma być obwołan królem Polskim i wielkim księciem Litewskim, Ruskim, Pruskim, Mazowieckim, Żmudzkim, Kijowskim, Wołyńskim, Podlaskim i Inflantskim.

Dziedzictwo wielkiego księztwa Litewskiego, a którego się król zrzekł, niema już wiecznemi czasy przeszkadzać temu zjednoczeniu się obudwu narodów; zaco wdzięczne stany obiecują potomstwu królewskiemu, — jeśliby które Pan Bóg dać raczył — poczciwe i przystojne opatrzenie, gdyby na królestwo niebyło wzięte. A przy każdorazowej koronacyi mają być przez króla poprzysiężone prawa, przywileje i wolności wszystkich poddanych obojga narodów i państw tak złączonych.

Sejmy i rady ma mieć ten oboji naród zawsze spólne pod królem Polskim panem swym, i zasiadać mają tak panowie między pany, jako i posłowie między posły, i radzić o spólnych potrzebach tak na sejmie jako i bez sejmu w Polsce i Litwie.

Też aby jedna strona była drugiej radą i pomocą, aby Jego królewska Mość prawa i przywileje, ziemiom i narodom tak korony jako i Litwy i ziemiom do nich należącym, wszelakiem pismem dane od wszech przodków JKMci i od JKMci samego, oraz wolności, dostojeństwa, prerogatywy, urzędy wszystkie obojga narodów całe i nieporuszone zachował.

Też we wszystkich przeciwnościach mają sobie rady i stany obojego narodu pomagać spólną pomocą i wszystkiemi siłami i możnościami, jako spólnej radzie pożytecznie i potrzebnie będzie się zdało, rozumiejąc wszelkie szczęśliwe i przeciwne rzeczy za spólne.

A równie spólne mają być wszystkie zmowy i przymierza z postronnemi narodami, spólna moneta, cła i myta.

A wszystkie statuta i ustawy zabraniające Polakom dzierżenia posiadłości w Litwie będą zniesione, jako prawa sprawiedliwości, spólnej braterskiej miłości i unii a zjednoczeniu spólnemu przeciwne; ale zawsze będzie wolno tak Polakowi w Litwie jako Litwinowi w Polsce każdym słusznym obyczajem dostawać imienia i dzierżeć je wedle prawa.

A do utrzymania tej jedności i tego braterstwa winniśmy przeciwko każdemu nieprzyjacielowi naszemu i narodów spólnych powstać z potomkami naszemi przy Panie królu naszym Polskim. Co wszystko czynić i wypełnić mocnie, dzierżeć w skutku zawżdy pod naszą pszysięgą siebie i potomki nasze obowiązujemy. —

Natychmiast po przeczytaniu powstał arcybiskup gnieźnieński z biskupami, a zbliżywszy się do mszału na którem była napisana Ewangelja św. Jana, podnieśli po dwa palce w górę, i uczynili przysięgę Bogu „jako zawsze przestrzegać będą aby ten spólny związek mocnie a nienaruszenie na wieki trwał.“ Po panach duchownych przystąpili świeccy panowie koronni, a klękając na raz po ośmiu przysięgali jako także „zawsze tego przestrzegać z potomstwem swem będą, aby ten spólny związek mocnie a nienaruszenie na wieki trwał.“ Po nich przystąpili do przysięgi panowie litewscy, dalej posłowie koronni a w końcu litewscy, wszyscy według opisanego porządku.

Po wygłoszeniu ostatniego amen zabrał głos prymas państwa. Najpierw uczynił rzecz do króla, dziękując mu za dokonanie niniejszego dzieła. Potem jako najstarszy duchowny pasterz trzody polskiej zwrócił mowę do obecnych zalecając im gorliwe dotrzymanie poprzysiężonego związku. Do poważnych słów pasterskich dołączył swoje starosta Żmudzki Jerzy Bielowicz: „Nie list, nie pargamin, nie pieczęci, ale cnota i chęć nasza i miłość powinna do tego zawsze nas wieść będzie, aby w tem statecznie i na wieki trwać.“

Co daj Boże — wyrzekł Zygmunt August — któremu spieszmy winne złożyć dzięki.

I wnet ruszyło całe zgromadzenie do kościoła. Po odspiewaniu dziękczynnego *Te Deum* odbierał Zygmunt August powinszowania od wielu znakomitych zagranicznych mężów. Znajdowali się między nimi Legat Papiezki, posłowie Cesarscy, króla szwedzkiego Jana, książąt Pomorskich, Sułtana tureckiego i pana Krymskiego, nawet goniec umyślny Cara Iwana. Znajdowali się i książęta Mazowieccy, Szlązcy, Brandenburscy i inni.

A szczęśliwy i wdzięczny król wyniósł na placu przed pałacem Radziwiłłowskim, posagowem wianem ukochanej Barbary, pomnik z ciosowego kamienia z posągami pradziadów swych Jagiełły i Jadwigi, pierwszych założycieli dzisiejszego pomnika narodowego. Lecz trwalszem nad kamienie stało się historyczne dzieło Zygmunta Augusta, bo ten nasz „miły, prześliczny orzeł biały“ ten nieśmiertelny ptak Jowiszów którego nie zgniotła żadna niepogoda, wzniósł się istotnie dziwnie wspaniałym lotem, a pod cieniem skrzydeł jego dojrzał złoty wiek ojczyzny naszej.

B. K.

Od redakcyi.

Z powodów od nas nie zawisłych, musimy na kilka numerów przerwać dalszy ciąg powieści p. t. „Żydowscy.“

Z tym numerem kończy się kwartał dla tych pp. abonentów, którzy do 1go Lipca zapłacili.— Prosimy o wczesne nadesłanie prenumeraty. Listy zwrotne rozesłaliśmy z przeszłym numerem.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.